

# BLUSZCZ

*Spółeczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobieczy*

ROK LXIV

WARSZAWA, DNIA 14 LUTEGO 1931 ROKU

NR. 7

TREŚĆ NUMERU: Kultura rozrywki — *Natalja Jastrzębska*. Bańki mydlane — *Eugenja Kobylińska-Masiejewska*. Poezje: „Walczyk“, „Tango du rêve“, „Mazur“ — *Lucyna Krzemieniecka*. Karnawałowy jubileusz „maman“ — *J. Putiatycz-Surynowa*. Taniec w malarstwie — *l. j. Trzy tańce jawajskie* — *Stefanja Podhorska-Okolów*. Z tańca i muzyki. Z teatrów — *S. P. O. Kobieta w świecie i w domu*. Działalność oszczędnościowa P. K. O. w r. 1930 — *T. Dziekoński*. Na całym świecie karnawał. Zawody w Krynicy — *Emka*. Nasza Mównica. Wesele za oceanem — *M. Dobrowolska*. Ośmiogodzinny dzień pani domu (dok.) — *Marja Ankiewiczowa*. Niebezpieczeństwa upiększania twarzy — *Dr. med. Zofja Rostkowska*. O nakrywaniu i podawaniu do stołu (dok.) — *Pani Elżbieta*. Premje książkowe dla prenumeratorek „Bluszczu“. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty“: Dessous i negligé — *Well*. Arkusz wzorów i tablica kroju.

## KULTURA ROZRYWKI

Zestawienie tych dwóch wyrazów jest jednocześnie zestawieniem przyczyny i skutku. Istotnie, kultura stworzyła rozrywkę; nie możemy sobie wyobrazić, aby człowiek, czy społeczeństwo bez żadnej kultury mogło wykształcić rozrywkę. Człowiek jaskiniowy miał zapewne już jakieś prymitywne zabawy, ale właśnie tworzenie ich dowodziło, że zaczynał stawiać pierwsze kroki na drodze do kultury. W miarę postępów cywilizacji, ludzkość rozwija i podnosi poziom swych zabaw i rozrywek. Do dziś dnia to, co zachwyca dzikusa, nie daje żadnego zadowolenia, a często nawet przykrość sprawia człowiekowi ze świata cywilizowanego. Niemniej jednak nawet w najprimitywniejszych formach rozrywki istnieje dążność do uzyskania wrażeń, odrywających psychikę człowieka od monotoni i szarości codziennego bytowania. Ten zasadniczy rys jest wspólny wszelkiemu dążeniu do rozrywki całej ludzkości; różnice, aczkolwiek olbrzymie, istnieją tylko w skali wymagań zadowolenia.

Do skali tej wchodzi zarówno najwyższe wymagania artystyczne, które stawiamy dziełom sztuki, poezji, literatury, jak i niefrasobliwe oddanie się zabawie tanecznej, czy innej rozrywce towarzyskiej.

Wobec tego, jako rozrywkę, jako dążenie do uzyskania wrażeń uważać musimy zarówno bal, jak teatr, wycieczkę, wystawę sztuki, koncert jak i książkę.

Istnieje tu tylko różnica wrażeń, które mogą być podniosłe, lub tylko wesołe, „zabawne“, no i naturalnie różnice indywidualnej kultury i upodobań. Jedna osoba może bawić się tylko tańcem, dla innej najmil-

szą rozrywką będzie książka poważna, inna osiągnie maksimum wrażenia przed pięknym obrazem. Często jedna i ta sama znajdzie przyjemność we wszystkich tych rozrywkach, czasem zależy to też od nastroju i potrzeby chwili. Zależy od charakteru, temperamentu, no i najwięcej od wykształcenia i kultury ogólnej i artystycznej.

Jakie są rozrywki współczesnego człowieka?

Teren jest bardzo szeroki; znajdujemy w nim miejsce dla upodobań najbardziej indywidualnych, jak i dla gustów zbiorowych, przeciętnych, kształtowanych przez obyczaje towarzyskie i długoletnie tradycje.

Rozróżniamy też i dużą ilość stopni w hierarchji rozrywkowej, stopni, istniejących pomimo tak znacznego zniwelowania współczesnego społeczeństwa. Różnice w rodzaju zabawy nie występują, naturalnie, w jednym i tym samym kraju, a nawet w całym kompleksie społeczeństw cywilizowanych, tak ostro, jak w dawnych wiekach, lub dziś jeszcze pomiędzy narodami dzikimi, a cywilizowanymi, niemniej jednak istnieją. Co innego jest zabawa ludowa, a co innego przyjęcie w salonie dyplomatycznym.

Czasy powojenne i w tym zakresie, jak w tylu innych, wprowadziły głęboki przewrót i zasadnicze zmiany, wynikające z wielu nowych warunków życia społecznego, zarówno moralnych, jak i materialnych. Przedewszystkiem przez czas dosyć długi albo nie oddawaliśmy się żadnym wogóle rozrywkom, albo w ilości i zakresie, ograniczonym do minimum, które się nie liczy. Z chwilą zaś odnalezienia nanowo psychicz-

nej i materialnej możności i chęci do zabawy, nie mogliśmy nie skonstatować zasadniczych zmian w jej płaszczyźnie.

Najpierw rozszerzyła się ona znacznie i zdemokratyzowała; nadto, w większości swej, przeniosła się na teren publiczny.

Teatr, kino, dancing, zabawa publiczna, oto najpopularniejsze formy powojennych rozrywek; zwęził się niezmiernie zakres przyjęć domowych, wizyt i dawnych stosunków towarzyskich.

Wydatnym zmianom podległa też i bawiąca się publiczność, do której przybył duży kontyngens ludzi nowych, w której daleko większy, niż przed wojną, udział bierze sama młodzież, bawiąca się bez nieodzownej dawniej asysty starszych. Wszystkie te okoliczności musimy wziąć pod uwagę, przy rozważaniu zagadnienia kultury rozrywki dzisiejszej.

Nie od rzeczy będzie przypomnieć, że te zmiany znajdują zarówno gwałtownych przeciwników, jak i zapalonych wielbicieli.

A prawda, jak zwykle, jest pośrodku.

Przeciwnicy dzisiejszego systemu zabaw wysuwają przede wszystkim, jako argument, szkodliwość zaniku zabawy w domu, w rodzinie; dalej, wygórowane koszty, jakie pociąga za sobą podniesiona skala zabawy publicznej. Wreszcie (cóż począć! nie wszyscy są demokratami), różnorodność sfery towarzyskiej, napływ osób nowoprzybyłych do ściśle dawniej zamkniętych środowisk.

Czy to wszystko jest rzeczywiście tak niepożądane?

Bezwarunkowo, musimy dążyć do utrzymania serdeczności i ciepła życia domowego; tylko pytanie: czy zabawa, zwłaszcza na szeroką skalę, jest znów takim nadzwyczaj pomocnym do tego środkiem?

Trudno, wszystko się zmienia, życie idzie naprzód niepowstrzymanie i musimy do tego zjawiska odpowiednio się ustosunkować. Wartości stosunków domowych trzeba odnaleźć gdzieindziej, warunki mieszkaniowe i materialne nie pozwalają dziś większości z nas i zapewne i w przyszłości nie pozwolą na wydawanie wielkich przyjęć i zabaw. Urządzanie ich w domu nie wynikało zresztą chyba i dawniej ze stosunku miłości i zaufania domowników, tylko z ogólnych warunków życiowych, które teraz są zasadniczo inne.

O ile chodzi o kosztowność dzisiejszej zabawy, to tu stanowczo szala przechyla się na korzyść współczesności. Prawda, podniosła się stopa elegancji, powiedzmy, osobistej, choć i to jest względne. Mówi się dużo o tem, jak to dawniej panie tańczyły w muślinowych sukienkach, a nie wspomina się o kilkumetrowych krynolinach i parumetrowych trenach z aksamitu, mory, atłasu i tym podobnych kosztowności, wcale nie tańszych od dzisiejszych. Choćby jednak nawet strój był tańszy, to zabawy obecnej nie można nazwać droższą: porównanie kosztu przyjęcia, nawet tak zwanego skromnego, z ceną kilkunastu złotych bi-

letu na wytworną zabawę publiczną nie wytrzymuje.. porównania.

To samo zresztą jest nietylko w stosunku do zabaw tanecznych, ale i do wszelkich innych. Ceny np. biletów teatralnych nie spadły wprawdzie, ale zato dla iluż ludzi pracujących, należących do licznych instytucyj i stowarzyszeń, istnieje obecnie możność nabycia ich znacznie taniej. Nie mówiąc już o tak przystępnych i rozpowszechnionych sposobach rozrywki, jak kino i radjo.

Jest przytem jedna jeszcze dobra strona większości dzisiejszych zabaw publicznych: oto mają one prawie zawsze jakiś cel ogólnego pożytku.

Co do kosztów zabaw wreszcie, nasuwa się jeszcze jedna uwaga: zastosowanie ich do budżetu.

Zdawałoby się, cóż można jeszcze o tem powiedzieć? Tyle razy już i tyle mówiono, a jednak i tu głębokie zmiany ogólne wprowadziły pewną reformę w obyczajach, tej właśnie używać należy rozumnie. Wielkie rozpowszechnienie i udostępnienie znajomości wszelkiego wykwintu życiowego kusi często nieprzepartą chęcią stosowania go. Musimy unikać pilnie lekkomyślności w tym względzie. Z pewnością, nie możemy wracać dziś do dawnych „klasowych“ podziałów, w myśl których na zabawach, np. mieszczańskich, nie można było podawać pewnych potraw, lub przywdziewać pewnych strojów; bezwarunkowo, że podniesiony poziom kultury i nawet wydelikacowany smak odrzuci z menu zabawy, dajmy na to, pieczeń wieprzową, ale to nie stanowi jeszcze o wyborze najdroższych potraw i win. Możemy, w myśl nowoczesnego jadłospisu, urządzić przyjęcie bardzo wytworne, a mniej kosztowne, np. zimny bufet, zamiast gorącej kolacji.

To samo zastosować należy do ubrania, to samo i do rodzaju zabawy, i nietylko zabawy, ale wszelkiej rozrywki, a nawet uroczystości rodzinnej. Ileż razy z okazji ślubu np. wyprawia się dziś jeszcze kosztowne przyjęcia, narażające na duże wydatki nietylko samych przyjmujących, ale i zaproszonych; natomiast pieniądze, wydane na taką zabawę, dostarczyłyby mogły daleko większej sumy prawdziwie kulturalnej rozrywki, jak podróż, lub nabycie jakiegoś dzieła sztuki na nowe gospodarstwo młodych, nie mówiąc już o odłożeniu zapasu gotówkowego.

Pozostaje jeszcze trzeci zarzut przeciwników dzisiejszego systemu zabawy: różnorodność towarzyska.

I tu jednak niema żadnego nieszczęścia. Przede wszystkim nawet na zabawę publiczną idziemy zwykle w gronie swych bliższych znajomych i z nimi się bawimy; podrugie, może wielu z tych, jak ich zwykliśmy nazywać obecnie, nuworiszów („przybyłych“, jak mówią francuzi: „parvenu“ znaczy człowiek, który dojrzał, doszedł do czegoś, przybył) nie jest w kursie wszystkich wytwornych obyczajów towarzyskich, tych rzeczy jednak można ludzi nauczyć; jest to tem więcej potrzebne, że nie wszyscy „przybyli“ są koniecznie zubożonymi paskarzami.

Jest wśród nich i wielu ludzi, którzy, wyszedłszy ze środowisk o małej kulturze, pracą zdobyli wyższe stanowiska. Z punktu widzenia prawdziwej i dobrej demokratyzacji społeczeństwa należy właśnie dążyć do tego, aby wszystkie jego warstwy posiadały wysoką kulturę rozrywki i spotykać się mogły na jej terenie.

Pozatem na dobro dzisiejszych zabaw każdy człowiek bezstronny zapisać musi ich umiarkowanie i, bądź co bądź, wyższy ogólny poziom kulturalny. Czy byłyby dziś do pomyślenia owe uczyty, podczas których gros zabawy polegało na picciu do nieprzytomności, lub nawet na tańczeniu do upadłego kilka nocy zrzędu? Dziś niktby tego nie strawił.

Podniosła się stopa naszych wymagań: do przyjemności w zabawie potrzebujemy pięknej sali, dobrej muzyki, nawet wygod szatni i pokoju toaletowego, a sama zabawa ma znacznie więcej spokoju i wykwiutu.

Mamy przytem daleko szerszy zakres rozrywek i większą swobodę ich wyboru. Dziś, młoda panna

nie potrzebuje koniecznie, wchodząc w świat, odbyć tego wstępu na szeregu balów; dziś nikt nie jest zmuszony nudzić się, o ile nie ma zamiłowania do tańców, lub licznych zebrań towarzyskich. Sporty, wycieczki, teatr, liczne koncerty i odczyty, wszystko to jest do rozporządzenia.

A różnorodność ta stanowi także ważne udogodnienie materialne: ileż młodych panien, których rodzice nie mogą wydawać przyjęć, ma sposobność zabawienia się na balu akademickim, lub innym stowarzyszeniowym, ile razy możemy zastąpić kosztowną przyjemność tańszą. To są udogodnienia współczesne, to nowa kultura rozrywki.

Od nas samych już, od naszego poziomu umysłowego zależy ciągle podnoszenie tej kultury, właściwe ustosunkowanie się do rozrywki czysto duchowej, artystycznej, teatru, książki; budzenie zamiłowania do przyrody, do piękna w otoczeniu; wreszcie, co najważniejsze, propagowanie kulturalnej rozrywki we wszystkich warstwach społecznych, gdyż jest ona ważnym w życiu społeczeństwa czynnikiem.

Natalja Jastrzębska.

## BAŃKI MYDLANE

(z cyklu „Kłopoty pani Niuśki”)

— Wy możecie poczekać — biadała pani Niuśka. — Jesteście smarkate: koło dwudziestki... po dwudziestce... Ale kobieta w moim wieku, goniąca resztkami młodości, powinna pójść choć raz w karnawale na bal.

— Cóż będziesz robiła na balu przy pomocy tych... „resztek młodości”? — spytała najmłodsza z sióstr Kiza, przekładając nogi przez poręcz kanapy. — Ja przynajmniej mam jakieś plany.

— Ona chce wyjść zamaż za siwiejącego pana — oznajmiła niezadowolonym basem Zuza.

— Będę go gładziła po bujnej, przetkanej szrebrem czuprynie — rozmarzyła się Kiza.

— Warjatka! — wypaliła prawdomówna Ludka. — Tembardziej, że mężczyźni najczęściej z niewiadomych powodów łysieją.

— Cicho! — krzyknęła starsza siostra. — W każdym razie muszę wam odmówić szala i pantofli na jutro, bo we wtorek sama pójdę na bal i powinnam dbać o całość swojej garderoby. Amen! Powiedziałam.

— Phy! Mamy w takim razie dwie pary pantofli na trzy pary nóg, chętnych do tańca... — rozżaliła się Zuza. — Wiedziałam, że odmówisz. Te mężatki nie mają serca. Fe! A i nie powinnaś chodzić na bale, skoro biedny mąż pracuje na zapadłej prowincji. Zgorszenie, i tyle!

— Oh, tego zawiele! Na bale?! Na ten jeden pójść chciałam. Pożyczę wam pantofli... potem... na cały sezon! Myślałam nawet, że mi poradzicie cokolwiek, bo nie wiem, co mam robić z suknią? Krótka!

— Na cały sezon? — zawahała się Kiza. — To ja nie mam pantofli, bo zbieram na narty. No, to już trudno, moje damy! Teraz musimy jej pomóc. Niech

się kobiecina zabawi. Którą z nas weźmiesz na swój koszt do towarzystwa?

— Bój się Boga, Kiza! Nie mam zamiaru być niańką. Musiałabym wtedy zachowywać się wzorowo, żeby nie dawać wam złego przykładu.

— O, Jezus Marja! — jęknęła przestraszona Ludka. — Ona chce się... zagalopować! Zuza! depszuj do Jerzego: w takich razach zwłoka może spowodować nieszczęście.

— Połamałabym ci ręce i nogi! — zagroziła wojowniczo pani Niuśka. — Chcę być tylko wyzywająca. Kokietować! Rozumiecie?!

— Coś nie coś! — wyrzekła Kiza, starając się bezskutecznie końcem pantofelka dosięgnąć węża anteny radjowej.

— Szarzyzna i szarzyzna! — żaliła się pani Niuśka. — Praca zarobkowa. Zeszyty. Głupia służąca. Piece dymiące. Sekwestrator. Kasa Chorych. Więc raz niby rozmach. Podróż na tęczy. Inteligentna wyrobnica staje się damą. Może kaprysić i zwodzić. Myśleć, że trzyma w ręku szczęście jedynej chwili. Taka łątko-jednodniówka wśród kolorowych lamp. I wybyście miały serce popsuć mi zabawę?!

— No, uspokój się! Wzruszyłaś nas. Wyciągaj swoje gałganki, zobaczymy — zawyrokowała Ludka.

\* \* \*

Niedzielne zimowe południe wyciągnęło się plamami słońca na czerwono zafroterowanej podłodze, gorsząc się niespodziewanym w domu zamętem. Zaśpiewały zbudzone nagle drzwi szafy; jakieś pudełko rozwarły zmięte paszczęki, ukazując barwne płatki pomdlałych z nudy kwiatów balowych. Wionęła na stół złotawa koronka sukni, wstydliwie nieświeża

w zimowym słońcu i odbłasku śniegu za oknami. Cztery głowy chwiały się nad nią z zafrasowaniem.

— Noszę ją już trzeci sezon — narzekała pani Niuśka. — A są podobno kobiety, które mają co rok po parę nowych sukien balowych!

— Tak — skrzywiła się Kiza, powracając na kanapę. — Głupio się urządziłaś. Mój siwiejący małżonek będzie mi suknie sprawiał tuzinami. Każdego ranka zapyta mię grzecznie: „Kizo, moja maleńka, czy nie masz mi nic do rozkazania?”

Trzy pary rąk zamachały na nią rozpaczliwie.

— Milcz! szanuj godność kobiecą! — zgromiła ją Ludka. — To są marzenia kandydatki na utrzymankę.

— Sama sobie sprawiam suknie — powiedziała z godnością pani Niuśka. — I żeby nie choroba Zbyszka i teściowej...

— Mój siwiejący małżonek nie pozwoli mi mieć dzieci. A w jego wytwornym gabinecie będziecie mogły podziwiać portret nieboszczki matki, pendzla znakomitego artysty — perorowała Kiza, zajęta szlifowaniem paznogi.

Zniecierpliwna Zuza cisnęła w nią pantofelkiem balowym pani Niuśki.

— Bez poufałości! — powiedziała spokojnie jasnowłosa marzycielka. — Powinnyście się raczej starać o moje względy.

— No, więc pomóż mi, Kizo — prosiła strapiona pani Niuśka. — Masz tyle fantazji w tym kierunku.

— Dobrze, ale uprzedzam, że bez kosztów sprawa się nie obejdzie. Pokażcie bliżej te lachmanki.

— Sęk w tem, że za krótka... Bo połysku może nabrać po dobrem odprasowaniu — odezwała się zafrasowana Luda.

— Cicho! ja teraz mówię — upomniała ją wyniosłe Kiza. — Te cztery końce dadzą się nieco opuścić. Suknia się podłuży. Tak. Niewiele... ale przecie masz ładne nogi i skoro postanowiłaś być wyzywająca...

— E, przecie sama wiesz, ile modna suknia dodaje animuszu — powiedziała niepokieszona pani Niuśka.

— Poczekaj! Modne są głębokie dekolty z tyłu. Hm! Zuza, pokaż mi jej plecy. Stój spokojnie, Niuśka. Odwróć się! Tak! Owszem... owszem... Te dwa dołeczki koło łopatek warte uznania. Będziesz miała w tem miejscu naturalną ozdobę. Oszczędność przede wszystkim.

— Ale kiedyż to się zrobi? Pojutrze bal. Pomóżcie mi, moje złote!

— Zaraz, Luda! pokaż, co umiesz. Z ciebie byłaby genialna krawcowa. Zuza! do roboty! Gdzie nożyce? Tnij!

— Hola! możemy zepsuć suknię...

— Zresztą: „pamiętaj, abyś dzień święty święcił”...

— Bez protestów! Ja tu rządę! A kiedyż to zrobimy? W powszedni dzień pracujemy od rana do nocy... Obrzydła mi maszyna do pisania i wszelkie papierzyska. Ale skończy się to niebawem, gdy znajdę się przy boku siwiejącego pana...

— Ach! ach! pojechała! Trzymajcie ją, bo się rozmarzy i położy się na kanapie.

\* \* \*

\*

Złote plamy słońca zwały się na błyszczącej odświętnej podłodze. Niedzielne popołudnie, niepokojone kobiecym zamętem, zafalowało, targnięte dzwonkiem w przedpokoju, i zaśmiało się nagle w jas-

nej czuprynie chłopca, brzęczącego łyżwami w zgrabiałych rękach. To Zbyszek wtargnął z zapachem mrozu w przedbalowy zamęt. Prysnał śmiechem, zaświegotał niedzielnych przygód opowieścią i... został odepchnięty. Ze nos mokry... że ręce... Poczul się urażony. Szukał oczu matki. Znalazł je. Były chłodne, błyszczące i nie chciały go widzieć. Znał tę zmrzoną wyniosłość pomiędzy rzęsami. Czasem mamusia przestawała być mamą. Niewiadomo dlaczego ukazywała się w niej „pani”. Wtedy w domu było obco i należało koniecznie mieć bardzo czyste ręce. Zbyszek z westchnieniem udał się do łazienki. Wrócił i zaraz naraził się na matczyne gderanie.

— Pociś tu wpuścił kotkę? Ona ciągle mi wlaży na kolana i przeszkadza. A psik!

Niezwykle ociężała popielata kotka stanęła w znikającej już słonecznej smudze i, mrużąc żółte oczy, rozglądała się po pokoju.

Potem niespodziewanie skierowała się w stronę pudełka z kwiatami, obwąchała je i wtoczyła się wewnątrz, układając się ciężko wśród jedwabnych płatków. Pisk panienek, groźby pani Niuśki i tupanie Zbyszka wypłoszyły ją stamtąd.

— Proszę jej nie bić! Antoniowa mówiła, że ona szuka gniazda dla dzieci — wyjaśnił Zbyszek, zabierając kota.

— Czyż to możliwe? Kocięta o tej porze? — Zuza spojrziała niedowierzająco.

— To jest wogóle nieprzytomna kotka — wrzuciła ramionami pani Niuśka. — Naprzykład: lize cytrynę.

— Do cyrku ją! — zdecydowała Ludka. — I daj nam jeść, bo umieram z głodu.

\* \* \*

\*

Tak. Była to dziwaczna niedziela. Pod kulą elektrycznej lampy migały nożyce, śmiejące się wąsko i ostro, ślizgał się uparty jedwab dessous, czepiając się długich paznogi dziewcząt i połyskiwał stukający twardo o powierzchnię stołu tęczy motyl balowej klamry.

— Jakoś to będzie — rzekła wreszcie Kiza. — Musisz tylko sprawić sobie torebkę, jedwabne pończochy i nowe kwiaty.

— Wątpię — martwiła się pani Niuśka... — Mogę najwyżej... 20 złotych...

— Nieszczęsna! — przerwała jej Kiza. — Mój przyszły mąż...

— Cyt! — tu znowu trzy pary rąk zatamowały potok wymowy niepoprawnej Kizy.

— Co to znaczy? — powiedziała rozczochrana panienska po odzyskaniu głosu. — Albo jest w Polsce wolność słowa, albo nie!

— Jak dla kogo — otrzymała wymijającą odpowiedź. — Ale twój przyszły mąż nie będzie jej posiadał.

— Dość tego! Niuśka, wkładaj suknię. Zobaczmy, czy będziesz dostatecznie piękna. Zbyszek, wynoś się! Zabierajcie tego kota! Jazda! — darła się Luda.

Pani Niuśka błysnęła nagością ramion w srebrnej głębi lustra. Zarumieniła się ze wzruszenia. Zmrużyła wyniosłe rzęsy.

— Dawaj pomadkę! Zrobię ci usta „w serduszko” — krzyczała przejęta Kiza. — Schowajże nogi, Zuzka, o mało nie upadłam! Patrzcie, jaka z niej szykowna kobietka!

Pani Niuśka uśmiechnęła się słodko. W jasnej głębi lustra wirował czar. Na gładką zwierciadlaną

powierzchnię wypłynął ten uśmiech kobiecy, różany i połyskujący wilgotną bielą zębów. Młodość zakwitła na chłodnym, lśniącym lustrze owalu. Pani Niuśka widziała, jak po jego szlifowanych brzegach tęczowemi falami przebiegła radość i zeskoczyła na szklane drobiazgi na toalecie, bijąc złotym wężykiem w ich zimną i przezroczyłą nieruchomość. Całe powietrze napelniono się rozpyloną tęczą od łez, których nie należało nikomu pokazać. Pani Niuśka pochyliła się nad toaletką, a Zuza właśnie głos zabrała:

— Mogłabyś pójść z panem Lolkiem.

— Daj spokój, będzie jej laził po piętach — przerwała Ludka. — Obraża się też o byle co.

— Nie znoszę smarkaczy — zawyrokowała dziewiętnastoletnia Kiza. — Idź z kim starszym. Z panem Stanisławem! Posadysz go przy bufecie i oddasz mu swój szal. A gdy będziesz głodna, zawsze się przy nim pożywisz. I napewno odwiezie cię autem.

— Jesteś nad wiek rozwinięta — rzekła pani Niuśka. — Pójdę z panem Stanisławem. On będzie zadowolony. Dopilnuje szala i torebki. Dziękuję wam za wszystko.

\* \* \*

Nazajutrz szkoła była szara. Widok gorliwych wąsów dyrektora na korytarzu był wyrzutem sumienia, bo pani Niuśka zapomniała o rannym dyżurze... Za szerokimi oknami chwiały się nagie gałęzie i wiało stamtąd zimnem, od którego paznogcie nabierały liljowych odcieni. Podłoga szkoły ugiwała się od tupotu, zakurzone powietrze uderzało po skroniach krzykliwemi młoteczkami gwaru. Nie! niepodobna było lubić szkoły... Chciało się czegoś innego. Daleka chmura za oknem nudnej klasy powoli obrzeżała się złotem. Stała się boleśnie i niedostępnie piękna. Pani Niuśka spuściła oczy na spis uczniów w poplamionym dzienniku. A zamiast robić apel — pomyślała: — Czy mam kupić torebkę, czy pończochy i kwiaty?

\* \* \*

Trudno było się zdecydować. Pani Niuśka wracała wieczorem do domu rozgoryczona, bo nie zdążyła załatwić sprawunków balowych. Zresztą rozbolała ją głowa, gdyż pragnienia jej stanowczo przekroczyły budżet dwudziestozłotowy. Odłożyła więc teńdrzliwie decyzję do jutra...

Teraz — do domu! Biedny Zbyszek pewnie jeszcze nie dostał kolacji. Antoniowa gderzona na niego. Zaniedbało się swoje obowiązki. Ach, i zeszyty II klasy. Boże... Boże!...

\* \* \*

Już w przedpokoju znalazła kartkę od pana Stanisława. „Miło mi będzie towarzyszyć ślicznej pani“ — pisał pocziwie. Pani Niuśka się uśmiechnęła. Znowu po zatroskanem sercu pogładziło ją aksamitne marzenie. W oczach zapaliły się balowe światła, a po ramionach spłynęło chłodne, nagie piękno. Pani Niuśka zapomniała pocałować Zbyszka, który patrzył na nią posepnie. Poszła wprost do swego pokoju, gdzie zostawiła rozwieszoną na poręczu fotela balową sukienkę. Zapaliła światło i... nagle skłębilo się w niej przerażenie. Coś tu piszczało. Nie śmiała wyraźnie spojrzeć na fotel... ale już wiedziała. Błysnęły na nią stamtąd zmęczone macierzyństwem żółte oczy kocie.

— Antoniowa! — krzyknęła pani Niuśka przeraźliwie. — Zamykać drzwi! Nie wpuszczać Zbyszka. Jak Antoniowa pilnuje domu? Co to znaczy?

— A Jezus! Ot paskuda, paskuda! — załamała ręce babina. — Na womity mnie zrywa. Ochota trzymać taka żywiola!

— Milczeć!

Antioniowa zdrętwiała. Nie poznawała łagodnej pani.

Pani Niuśka zbliżyła się, jak automat, wyciągając rękę w stronę sukni, która przez poręcz spływała na podłogę w obwisłym smutnie zaniedbanu. Nie... nie należało mieć nadziei! Niedzielna praca była zniszczona. Dłuższe dolne końce stroju leżały zmięte pod kotką, a gdy pani Niuśka szarpnęła sukienką, potoczyło się po fotelu coś maleńkiego i oślizgle piszczącego. Kotka podniosła się ciężko i jęła zgarniać pod siebie kilkoro mokrego drobiazgu. Mruczała przytem śpiwnie — niby boleściwie, niby przepraszająco — patrząc męczeńsko rozszerzonymi oczami na nieruchomą z żalu panią domu...

Antioniowa w milczeniu zajęła się likwidowaniem kociej niespodzianki, układając świeżo upieczoną rodzinę w wysłanym koszyku.

\* \* \*

Pani Niuśka nie wyszła ze swego pokoju. Nie chciała Zbyszka, nie chciała herbaty. Zeszyty drugiej klasy rzuciła pod biurko. Zacięła się w przeżuwaniu gorczy własnego istnienia. Chodząc po pokoju, wydłubywała dotkliwą igłą drzazgi codzienności, które przywarowały pod skórą znieczulenia.

— Gdzie jest Złota Przygoda mego życia? Gdzie i kiedy było to Najcudniejsze? Nie wiem! Ale poprawiłam pewnie... milion zeszytów. Poprawiałam je radośnie, ale nikt mnie za to nie pochwalił; poprawiam je dalej z gorczą... i nikogo to nie obchodzi! A gdzie radość?

\* \* \*

Było już w domu cicho i zegar w jadalnym pokoju niechętnie wydzwonił godzinę jedenastą, gdy pani Niuśka usiadła przed toaletką, zmęczona chodzeniem.

Lustro spojrzało na nią uważnie dużem, czystem okiem i mrugnęło niepewnie wielobarwną rzęsą.

— Przykro mi, ale nie jesteś w tej chwili ładna — powiedziało bezgłośnie.

— Wcale mi o to nie chodzi! — odpaliła obłudna kobieca дума. Pani Niuśka wpatrywała się ze śmiałą gorczą w twarz poszarzałą i oczy zaczerwienione, spoglądające z tej samej srebrnej głębi wczorajszego czarownego zwierciadła.

— Radość jest magją urody — pouczała kobieta milczące lustro. — A radość... cóż to jest? Bańka mydlana!

Lustro się zasmuciło. Nie falowały po niem zielono-złote dreszcze. Na tęczę owalnego oka opadła ciężko powieka, niby ciemne, żałobne srebro.

— Ja też jestem... bańka mydlana! — zadzwoniło nad szklanemi gracikami nagle wyznanie.

Wtedy podniosła się srebrna na oku lustro powieka, aż zatrzepotały na szlifowanym obrzeżeniu zielono-złote rzęsy, z pod których jał spływać gęstemi kroplami migotliwy żal... A cały pokój zawirował nagle w tęczy wytrysłych łez...

Eugenja Kobylińska-Masiejewska.

LUCYNA KRZEMIENIECKA.

## WALCZYK

*Troje myśli rozbłyły z koloru,  
nie ważnego nie widzisz w tym walcu.  
Szkoda, chciałam wśród rozmarzy wieczoru  
mieć maleńką obrączkę na palcu —  
Spójrz, mam przecież, jak z bajki, oblicze,  
delikatne, różane mam dłonie.  
Czemu nie chcesz być moim królewiczem  
i koronę mi włożyć na skronie.*

## TANGO DU RÊVE

*Wiesz, tańczyliśmy dziś we śnie  
na zielonym, sennym yachcie.  
Płynąc z nami bezszelestnie,  
świecił księżyc coraz jaśniej.  
Było wszystko: lśnienie nieba,  
egzotyczny morza zapach,  
w twojem sercu prośba: „przebacz!”  
w twoich oczach darowy zapach.  
Było złoto ananasów  
i wciąż ty i ja, we dwoje...  
Wtem zbudziłam się odrazu  
sama jedna, w swoim pokoju.  
Świt stał, milcząc, pod oknami,  
turkotała w dali fura...  
i szaremi ulicami  
znow popłokłam się do biura.*

## MAZUR

*O, nie będę tańczyła mazura.  
Jakież mogę mieć o tem pojęcie.  
Czyż biegałam po słonecznym dworze,  
w złotych włosach, w przejrzystej sukience?  
Czyż w nieminnym, panińskim pokoju,  
ktoś mi gwiazdy pokazywał z okien,  
czy widziałam wstające z błękitu  
dni, co płyną nad polem szerokim?  
Czy mi matka splatała markocze  
pieszczotliwie, przed pierwszym moim bale?  
Czy marzyłam w parkowej altanie,  
gdy akacje pachniały wśród alej?  
Czy słyszałam z ust twoich kochanych  
święte słowo wieczystej miłości?...  
O, nie będę tańczyła mazura,  
O, nie proście mnie nawet, nie proście.*



## KARNAWAŁOWY JUBILEUSZ „MAMAN“

Wilde powiedział, że kobieta zawsze się wstydzi swoich lat: „Albo ich ma za dużo, albo ich ma za mało”. Taka kobieta, która by przyznała się szczerze do swoich lat — przeraziłaby Wilde’a.

Otóż „maman”, patrząc na swoją fotografię balową z przed lat 25-u, musiała wzruszyć ramionami i przyznać, że Wilde miał... rację. Ta fotografia wskazywała najwyraźniej, że 16-letnia panią z przed wojny bardzo się wstydziła swych lat, których miała „za mało”. Uczesanie (z wałkiem, ogromne, wyolbrzymiające głowę), odpowiednie na lat 30, postarzało. Obecnie „maman” ma główkę maleńką w gładkim uczesaniu zaondulowanych włosów, odpowiedni na lat 16 i odmładzającym. Wilde miał rację — „maman” ma teraz lat „za dużo”...

Jubileusz 25-olecia karnawałowania! Setki odbytych kilometrów tanecznych, kilkadziesiąt sukien balowych i tysiące uśmiechów i rozczarowań, uwieńczonych dostaliśmy prześytem jubileuszowym.

W dniu obchodów jubileuszowych mówi się zawsze o zasługach jubilata i o... kwiatach i cierniach jego kariery zawodowej.

„Maman” o swoim jubileuszu mówić wogóle nie chce, zasług nie podnosi... bo ich, oczywiście, nie ma. Wspomina jedynie łzawo ciernie dawno ubiegłych przeżyć i uśmiecha się do kwiatów wspomnień, które w zapomnieniu straciły barwy i zwiędły.

\*

Rok 1906. Pierwszy bal. Karnawałowa premiera. Dwugodzinny sen przed bale, zapewniający dobry wygląd.

Trzygodzinne przygotowania: fryzjer, przypalone włosy, stosy podwójnych szpilek, pod włosy podłożony wałek, na włosy nałożony wianuszek kwiatów — uczesanie! Snurowanie gorsetu, 30 zatrasków i 15 haftek, przyszywanie świeżych kwiatów i gazy („Nie siadaj! zgnieciesz...”) — to suknia! Długie za łokieć

rękawiczki (na pierwszym balu nie pachniały benzyną!), 150 przepisów balowego savoir-vivre'u, zmęczenie ubieraniem, bicie serca — karetą!

Sam bal... Orkiestra gra walca. Na salę pada blask reflektorów. Na paluszku „maman“, obok wachlarza — wisi karnecik. Jakiś malarz coś na nim namalował, nieznany poeta napisał... Pierwszy walc figurowy — i mazur, kontredans i kolacja, potem kotyljon i biały mazur. Wszystkie tańce już zamówione, przelicytowane wśród grona otaczających czarnych fraków. Powodzenie... „Maman“ tańczy, a matka jej, siedząca na kanapie pod ścianą (nurkowa peleryna), „rośnie“ z dumy. Panienska musi pamiętać o tysiącu rzeczach: niewolno jej tańczyć za dużo, za długo, i za często z tym samym panem; niewolno jej zapomnieć o tem, który pan pierwszy prosił ją do tańca; niewolno jej w kotyljonie 2-óch orderów gwiazdzistych przypinać temu samemu blondynowi z falującą brodą, lub temu samemu brunetowi z długimi baczkami... Dowodem największego powodzenia „maman“ jest taniec w pierwszą parę z wodzirejem! Największem uznaniem jest opis jej tualety w „Kurierze Warszawskim“ (przez specjalną recenzentkę, siedzącą na galerji): „Sukienka z białej gazy, przybrana pękami fiołków“ i t. d. i t. d.

Pierwszy bal... marzenia. Rozsunięte nad ranem firanki okien i tańczony o świcie „biały mazur“... Zmęczone twarze, podarta gaza, zwiędłe kwiaty i spoczone czoła. Ten „biały mazur“ — to była rzecz okropna!

Druga rzecz okropna na tym pierwszym balu „maman“ — to były siedzące pod ścianami panienski, „siejące rutkę“, lub „podpierające ściany“. Biedactwa nieśmiałe, źle ubrane, małowówne i źle tańczące. Dla kontrastu były tam i piękne, „demoniczne“ panny, „chodzące w szkarłatach“, głęboko wydekoltowane, „zmysłowe wampiry“. Takimi nie potrafią być teraz córeczki „maman“.

„Maman“ wzdycha z ulgą: „Na szczęście“.

Po tym pierwszym karnawale były jeszcze dwa inne, spędzone z narzeczonym i z mężem. Potem zaś wojna...

Któż myślał o zabawie wówczas, kiedy krew się lała? Niestety, po kilku latach przerwy, oswojono się z biuletynami frontowymi i z nędzą. Echa jęków szpitalnych i przeżyć wojennych dochodziły słabo do uszu mieszkańców miast. Bawiono się znowu. Tylko inaczej. Wielkie sale balowe zajęły komitety społeczne i placówki sanitarne — bawiono się więc w małych salach, do określonych godzin (w nocy „stan wojenny“ zabraniał chodzenia po mieście), w letnich sukienkach i płóciennych pantofelkach — uśmiechając się do tych, co przyszedli z frontu, lub na front mieli iść.

— „Jeszcze jeden mazur dzisiaj...“ pyta młody ułan panny Krysi, czy zatańczy z nim, bo jutro on może już wogóle...

„Maman“ pamięta kilka takich pseudo-karnawałów, na których „pocieszano“ walcujących... W przyziemionych salach (ograniczenia w zużyciu elektryczności) rodziło się tango nowoczesne i steep modernizował pomału dawny „régime“. Od czasu do czasu jakaś panienska jechała na front, jako sanitariuszka, i pakowała już trzy razy praną letnią sukienkę do małej koszykowej walizki, aby tam, na froncie,

dorywczo zatańczyć w jakimś kresowym, ostrzeliwanym dworku. Jeden karnawał „maman“ spędziła w wagonie sanitarnym na froncie (bez sukni balowej). W jednym karnawale — w same ostatki — siostra „maman“ zmarła na tyfus plamisty, zaraziwszy się w szpitalu Ujazdowskim od żołnierza I pułku Krechowickiego. Kiedyś znowu (w 1919 r.) zginął w dwa tygodnie po ostatnim balu najlepszy danser „maman“ (wesoly i przemity porucznik ułanów).

Smutne były te karnawały wojenne...

Czasy się zmieniają i ludzie się zmieniają. Co było dobre w roku 1906 — było niemożliwe w 1915, a przebrzmiało w 1931. Bal, udany w roku 1911, był anachronizmem w 1931.

„Maman“ mile wspomina dawne bale, porównuje je z obecnymi i „noskiem kręci“. Córeczki „maman“ na bale chodzić wogóle nie chcą — woła „dancingi“. Dla „maman“ to wygodniejsze: nie potrzebuje siedzieć pod ścianą (w nurkowej pelerynie) i nie potrzebuje się martwić, czy córki jej będą tańczyły (teraz jeden tancerz wystarcza, aż nadto).

Jakże inne jest „jubileuszowe“ wybieranie się na dancing od tych pięciogodzinnych przygotowań z roku 1906-go!

Fryzjer? Uczesał panienski i mamę rano. Obecnie potrzebne są tylko trzy odpowiednie poruszenia grzebieniem. Suknia? Wrzuca się ją błyskawicznie „przez głowę“. Karetą? („Maman“ śmieje się serdecznie sama do siebie). Autobus i 3 bilety po 20 groszy, a zajeżdżamy przed sam „Europejski“, czy też „Angielski“. Danserzy? Jeden wystarczy. Panna nie tańczy? Może rozmawiać przy stoliczku z czarną kawą i likierami. Panna nie wychodzi czwarty karnawał zamąż? Głupstwo!... Czas prekluzyjny przesunięto: staropanieństwo nie zaczyna się już w latach 20-u, a w... 40-u. Panienska tańczy z tym panem za często i za długo? Chwała Bogu! Właśnie o to chodzi.

Tak, tak... czasy się zmieniły. Mają one swoje plusy i swoje minusy. W każdym razie, robiąc bilans jubileuszowy, „maman“ przyznać musi, że dla niej losy są łaskawe.

Oto nie potrzebuje być „kanapową mamą“, wyśmianą i ziewającą, lękającą się o „brak powodzenia“ i o brak „epuzera“ dla córek. Panienski obecne są swobodne, wesole i naturalne. Nie biorą do serca zawodów dancingowych, a wchodząc na salę, nie mogą sobie nawet wyobrazić, co to jest... „trema“.

Czasy się zmieniły.

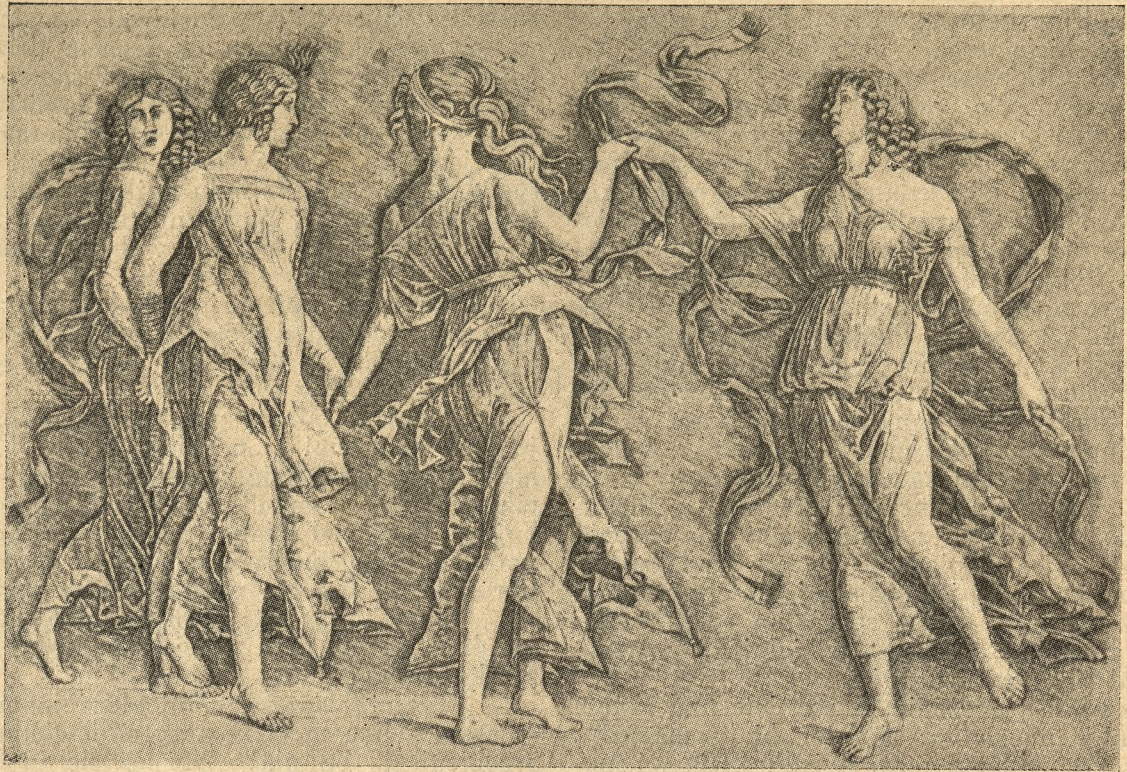
„Maman“ uśmiecha się nad szklaneczką „krużonu“ do siwego pana, który przed chwilą skończył z nią tańczyć „Tango Milonga“. Za chwilę zatańczy „bostona“ z łysym mecenasem i usłyszy od niego, że jej złote (utlenione) włosy cudownie harmonizują z szafirową koronką tualety. O godzinie 2-jej „maman“ pójdzie spać (nocne tańce już męczą „jubilatki“).

Lala i Boba mają już narzeczonych... Więc, reasumując... dorobek działalności na posadzkach karnawałowych, „maman“ dochodzi do wniosku, że świat przez ten okres dwudziestopięcioletni — zmądrzał! Tak, zmądrzał, gdyż przedłużył młodość kobiety prawie... w nieskończoność...

Oto „maman“ teraz wygląda młodziej od swej fotografii z roku 1906!...

J. Putiatycz-Surynowa.





Szkoła Mantegni: „Cztery dziewczyny tańczące“.

## TANIEC W MALARSTWIE

Przechwycić najgłębszy sekret życia: ruch — i zamienić go na wartość statyczną; w ćwierćbrocie zatrzymać migotliwy płomień i kazać mu zastygnąć na podobieństwo soplek lodu — szaleństwo, na które od wieków porywa się sztuka, rozwijająca się tylko według nakazów przestrzeni, sztuka, dla której czas jest wartością nieistotną; malarstwo.

Istnieje niewątpliwie jakieś tajemnicze, głęboko uwarunkowane prawo psychologiczne, dzięki któremu dwa procesy artystyczne, sprzeczne pozornie w samym założeniu, tak uparcie ciążą ku sobie. Jeżeli twórczość wogóle jest w pewnym sensie „wyjściem z siebie“, wyrażeniem swego normalnego stosunku do świata poprzez zasób form niejako zobjektowizowanych i w sposób szczególnie uporządkowanych — to ów rytm, ów ład specyficzny inne ma cele i z innych pochyna się źródeł w malarstwie, z innych — krańcowo odmiennych — w ruchu i najbardziej elementarnym jego kształcie artystycznym: w tańcu.

W jednym wypadku nacisk cały położony na trwałość, niezniszczalność, rozpiętość, rozmiar.

W drugim — na płynność, zmienność, wielość wymiarów, a-spoistość i odśrodkowość. A przecież od najdawniejszych czasów wiążą się w harmonijnych dopełnieniach, na świadectwo przekornej tęsknoty człowieka: zatrzymać, uwięzić ruchliwość i lotność; ożywić, wzburzyć zakrzepłość spoczynku.

Od dwudziestu pięciu prawie stuleci wiruje w tanecznym splocie z szalem przedziwnie wystylizowana postać kobieca na czarze attyckiej. Aby uwy-

datnić jej zwiewność, jej przynależność niemal jednoczesną do wielu płaszczyzn, jej, możnaby rzec — nieuchwytność, wykręcił jej artysta głowę, doskonale pozatem spokojną i na solidnej osadzonej szyi, rozrzucał w przeslicznym trójkącie nogi... Na innej czarnej wazie — o jakieś 50 lat młodszej — czerwona figura bachantki z orszaku Dionisosa wypuściła już nawet z rąk gałąź z kwiatem, by wyfrunąć niejako w powietrze. Ramię wzniosła do góry, stopy, bynajmniej nie mikroskopijnie drobne, ustawiła na ziemi możliwie najbardziej spiczasto. W zasadzie na tem kończą się — jeżeli wolno się tak wyrazić — atrybuty jej lotnego gestu. Postać cała tak jest zwarta w sobie, tak jakoś solidnie przysadzista, że z trudem przychodzi nam dzisiaj gorszyć się jej „rozwiązłą bachiczością“. U tych naszych antycznych przodków przeważał jednak — „volumen“, bryłowatość, poczucie ciężaru rozłożystego kształtu, rzeczywistsze i konkretniejsze, aniżeli wyobrażenie owej rozstrzelonej wielości w jedności, która się musi kojarzyć z ruchem.

Na pięknych malowidłach etruskich ścian grobowcowych rozwiązanie tego trudnego dylematu dokonywa się na innej drodze. Tutaj rytmika przestrzenna poszczególnych figur, z których każda występuje w oddzielnym obramieniu, ponadto doskonale skoordynowany zespół hieratycznych gestów, odpowiadających sobie w układzie postaci męskich i kobiecych — jest ową transpozycją rytmu innego rzędu, ładu — niematerjalnego.



Im później, tem bardziej różnicuje się samo pojęcie tańca, wiąże się ściśle z kompleksem towarzyszących mu momentów anegdotycznych i fabularnych i w zależności od nich nabiera specyficznego zabarwienia. W starożytności taniec jest aktem rytualnym, przy którym przemożne poczucie mistycznej wspólnoty z Niepojętem zaciera przeważnie wszelkie indywidualne zabarwienie uczuciowe.

Ale oto wraz z komplikacją form życia społecznego taniec staje się wieloznaczeniowy. Tańczą aniołowie na obłokach niebieskich, radując się z dobrej Nowiny; tańczą hoże dziewczęta, bo tak także obyczaj niedzielny i niecierpliwość jędrnych nóg; tańczy i zła Salome nad męczeńską głową św. Jana. To są sprawy niewspółmierne, różne też otrzymują przedstawienie. Aniołom wolno w radosnym uniesieniu przecinać przestrzeń ukośnie, pod kątem do płaszczyzny obrazu; wolno im nawet głową w dół spadać wśród rozwichrzenia piór — przecież są aniołami i prawo ciężenia oraz zasady oficjalnych kodeksów towarzyskich ich nie obowiązują.

Natomiast np. na środkowej części fresku Simone Martini („Triumf kościoła katolickiego“) wybrane ziemskie dziewczęta podnoszą w tańcu ramiona powolnym, najzupełnie godnym i uroczystym ruchem. W poczuciu swej absolutnej wyższości nad zgrają pozbawionych łaski potępieńców, kłębiących się w samym dole, zakreślają koła dostojnie i miarowo, zgodnie z przyjętym obyczajem — i równoległe do płaszczyzny ściany, na której figurują.

Dużo jeszcze czasu upłynie, nim wreszcie wyobrażenie tańca w sztuce plastycznej odda to, czem umie on stać się czasem istotnie: wirowanie i lot. Oczy-



Botticelli: „Trzy Gracje“ (fragment z „Primavery“).



Dégas: „Tancerka“.

wicie cały potężny realizm Breughelów, Teniersów, całej szkoły północnej — nie pozwoli nigdy zażywnym chłopom i aż nadto w ciało zasobnym wieśniaczkom flamandzkim i niderlandzkim na zbytnią strzelistość w kierunku obłoków. Za dużo jedzą, za dużo nadewszystko piją ci poczciwi, korpulentni jegomości i ichmościanki, by byli w stanie na wszystkich swych zabawach i weseliskach wyładować swą radość życia inaczej, niż w niedźwiedziowatych iście podskokach i podrygach. Ale jeszcze nawet wiotkie, urocze Gracje Botticellego, jeszcze mantegnowską doskonałością owiane tancerki w faldzistych szatach, posuwają się z wdziękiem i cudowną lekkością — po ziemi.

Dopiero gdy przyjdzie czas wspaniałych odkryć w zakresie skrótów perspektywicznych, gdy i potem olśnionym oczom malarzy ukaże się nieprawdopodobny świat złud światłocieniowych, gry blaskiem i pyłem kolorów — wtedy dopiero, jak za muśnięciem różdżki czarnoksiężkiej, wytryska taniec zdematerializowanym płomieniem poprzez powłokę farby na płótnach malarskich.

Już sztuka baroku staje się królestwem owych nagłych, nieoczekiwanych skrótów formalnych, wielopłaszczyznowych gestów, snopów świetlnych, wystrzelających na podobieństwo rakiet. Ale barok ze swoim patetycznym stosunkiem do rzeczywistości mniej zajmuje się tańcem, jako tematem.

Dopiero, gdy pojęcie względności, relatywizm, opanowały nietylko dziedzinę form, nie-



Zofja Stryjeńska: „Mazur”.

jako słownik malarski, ale i samo poczucie ważności zjawisk, gdy hierarchja tematów uległa przewartościowaniu, gdy komentarz przestawał być obowiązkiem, a samo tylko *patrzenie* wystarczało artyście — taniec stał się niejako źródłem radości wizualnej. Bytowanie tancerek Degasa jest czemś nieuchwytnym, niemal nierealnym nie tylko w obiektywnej rzeczywistości, ale i w malar skim, dwuwymiarowym świecie. Wibracja kolorów, miraż światła i cieni, stają się na płaszczyźnie płótna odpowiednikiem czwartego wymiaru, tego wymiaru, w którym zatraca się ważność samych kształtów, a istotne stają się tylko relacje pomiędzy nimi, rytmiczowane ich następstwo. Przechodzenie w siebie i płynność form nabierają sensu same przez się, i gra podskórnych energii okazuje się czemś najważniejszym: życiem samym.

Jak doskonały komentarz do odrębności psychik narodowych, wygląda stylizacja tańców Stryjeńskiej obok francuskich impresyj. Ruch u polskiej artystki wyraża się przedewszystkiem w linii, zamasytej i kanciastej, w kształcie buńczucznym, a niezaprzeczenie konkretnym. Pełni „wściekłego” temperamentu, ci wyskakujący na kilometry całe w górę herosi są przecież jaknajbardziej ziemscy. W żyłach ich nie płynie rozstrzępione, błyskotliwe światło — lecz krew czerwona i ognista.

l. j.

## TRZY TAŃCE JAWAJSKIE

Na tle ciemnych kotar, jak na tle nocy, wyrasta złotawy tors, przekreślony na krzyż płomienną szarfą. Długie końce szarfy przewleczone przez srebrzysty pas, podtrzymujący wzorzystą szatę dolną, która otula nogi aż po bosc stopy. Z tyłu za pasem zatknięty naukos długi jatagan. Rzeźbiona rękojeść puginału wyziera z pod prawej pachy, ilekroć ramię ryce rza podnosi się do góry. Gęstwa czarnych i matowych, jak sadza, włosów ciasno splekana zawojem.

Z za kotar sączy się monotony refren muzyczny, jak krople rosy, spadające w otchłań dżungli. Fortepian lka, jak przez sen, ubogie i dziwnie przejmujące melodje, które tam, na Jawie, grywa się na instrumentach, nie posiadających nigdy więcej, niż dwie struny.

Na uboczku siedzi chłopiec w malinowej kurtce i zawoju. Na skrzyżowanych kolanach trzyma bęben w kształcie podłużnej baryłki. Zgodnie z rytmem melodji wybija palcami takt o denka instrumentu. Odwraca do widzów okrągły, jak jabłko, a złocisty, jak skórka migdała, policzek, na którym długi kosmyk włosów misternie układa się w znak zapytania. Jego płaski egzotyczny profil skierowany jest w stronę tańczącego torsu, oczy śledzą bacznie ruchy mistrza, suche palce automatycznie uderzają w bęben, jak pałeczki, wyrzeźbione z poślódkiej kości.

A mistrz zwolna, rytmicznie wychodzi na środek sceny. Wężowemi ruchami ramion, muskularnych, jak u mężczyzny, a giętkich i wymownych, jak u kobiety, odgarnia z czoła jakąś myśl, zadumę, troskę, sen, czy zjawę.

Nagle, jakby się obudził. Sokole źrenice, dotąd śpiące pod nawpół opuszczonemi powiekami, zapłonęły agatowym ogniem. Dojrzały zdobycz w głębi dżungli. Błyskawicznym ruchem śniade ramiona wyprężają ponad głową połyskliwą szafirową tkaninę. To już nie szarfa, to napięta cięciwa łuku. Chwilę mierzy, szarpnął. Jęknęła niewidzialna cięciwa. Nie widać bełtu strzały, ale pocisk zawarczał. A może to głucho zatętnił bęben na kolanach malinowego chłopca?

Cios był trafny, bo iskry triumfu posypały się z pod brązowych powiek ryce rza. Wyrzucił ramiona w górę. I znów ze swego szafirowego łuku wypuszcza strzałę za strzałą. Duma, czy okrucieństwo rozchyła ścięte dotychczas wargi uśmiechem, w którym niema nic ludzkiego. Tak uśmiecha się bóg Sziwa, kiedy napina łuk niebios nad zbuntowaną ziemią. Tak mógł uśmiechać się Apollo, kiedy raził strzałami synów Niobe.

Muzyka staje się coraz dziksza, razy bębna coraz ostrzejsze. Malinowy chłopiec, skulony, jak barwny podzwrotnikowy ptak, urzeczonemi oczyma wodzi za płomiennym wężem o płaskiej głowie gada i ruchach jaszczurzych. A jego palce, jak lotki ptasie, biją bezradnie o ściany bębna, w którym w tej chwili, jak w klatce, tłucze się, grozy pełna, dusza słonecznego chłopca.

Na puste pole wychodzi siewca. Poważnie stąpa w takt muzyki po spulchnionej ziemi. Zapatrzonej w odległy horyzont, zdaje się radzić wróżb wichru

i pogody. Czas zacząć obrządek. Błogosławiącemi ruchami rąk rozsiewa niewidzialne ziarno. To pierwsza część modlitwy tanecznej, która się nazywa „ryżobranie”. Trzeba przecież od początku aż do końca pokazać bóstwu, o co się je prosi, czemu ma błogosławić. Śnać modlitwa została wysłuchana, bo oto z pod stóp siewcy tryskają źdźbła ryżowe. Krąży wśród nich lekko, jak wiatr wiosenny, miłośnicie muskając pióra kłosów. Pod wiatrem faluje niwa. Nadchodzi pora żniw. Ruchy tancerza stają się gwałtowniejsze. Ogarnia go szal pracy. Oczy, dotychczas z rozmarzeniem krążące nad polem, stalowy błysk wbija w jeden punkt pod nogi. Drapieżne ręce niewidzialnym sierpem zagarniają i tną kłosa. Oto już zżęte całe pole. Czas wiązać snopki. Szybkie, jak myśl, ogarnięcie pęku powróściem, błyskawiczne zadzierzgnięcie wężła ma w sobie coś tak bliskiego naszym tradycyjnym gestom żniwnym, że aż przejmując dreszczem dotykanej wizji.

Nowa faza: żniwiarz zadaje sobie snopy na ramię i radosny cennem brzemieniem dźwiga je do domu. Już cały użątek pod dachem. Muzyka zmienia rytm. Ręce tancerza ujęły niewidzialny stępor, stopy tępo klaskają o klepisko w takt młocki. Głuche razy bębna towarzyszą zgodnie uderzeniom rąk i tupaniom nóg.

A teraz ostatni akt zbioru: wianie. Niewidzialne sito wiruje między zaokrąglonymi ramionami tancerza. Oczy goniają rój plew, unoszących się, jak pszczoły nad plastrzem miodu. Te same oczy, które na początku tańca tęsknie ogarniały daleki krąg horyzontu, teraz toczą wzrokiem po obwodzie małego koła, zahypnotyzowane wirowaniem czarodziejskiego przetaka. Krążą, niezmordowane, jak ziemia po wiekuiestej orbicie...

Pojedynek rycerza z demonem. Rycerz ma na sobie rodzaj pancerza i obcisłego dolnego stroju

w kolorze matowych leśnych fiołków. Strój bogato lamowany srebrem. Od bark złocisty metalowy grzebień, podobny do złączonych w jedno skrzydeł husarskich. Na głowie hełm, zakończony z tyłu ślimacznicą nakształt konchy, czy skrzyconego węża. Na obnażonych rękach bransolety, na piersi dziwnego kształtu amulet; przez bogaty pas przerzucone dwie pomarańczowe szarfy, których długie końce zwisają aż do ziemi. W tym stroju rycerz ma coś z orla i z gryfa.

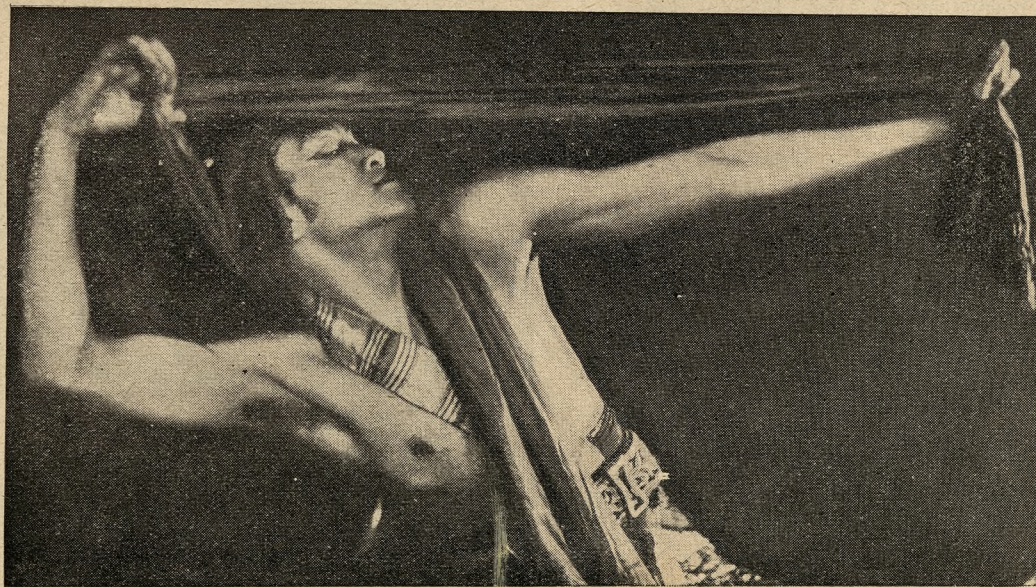
Demon jest półnagi, obrośły i plugawy. Tańczy w masce z brodą i z zębami wyszczerzonymi z ohydnej paszczy. Jest zły, podstępny i tchórzliwy. Posągowa nieruchomość rycerza doprowadza go do wściekłości. Krąży koło niego w podskokach, jak rozjuszony zwierz, sapiąc, zgrzytając zębami, prychnając, jak dziki kot. Rycerz, którego postać stoi en face do widza, a głowa odwrócona jest profilem, nie zmieniając postawy, opędza się od natręta szarfą. To ośmiela demona. Coraz bliżej przypada do żywego posągu. Natrąsa się zeń, drażni, prowokuje.

Dopiął swego: rycerz przyjmuje wyzwanie.

Zapaśnicy rozbiegają się na dwa krańce sceny. Już dopadli do siebie, na podobieństwo walczących kogutów. Zwarli się i rozlecieli, jak dwa kawałki pnia, który piorun rozszczepił. Znowu chwila starcia i ponowny rozbieg. Demon miota się, dyszy wściekłością, dławi się własną pianą. Rycerz w najgwałtowniejszych rzutach zachowuje spokój, majestat i pogodę. Wreszcie jednym celnym ciosem powala potwora. Staje nad nim wyprostowany, dumny, skrzydlaty — jawański święty Jerzy nad zabitym smokiem.

A kiedy burza oklasków przywołuje go znowu na scenę, — zamiast banalnych gestów wirtuoza, złocista ręka wygina się w powietrzu wężowym ruchem, jakby znak swastyki kreśliła przed sobą na wodzie. Uczeń yogów tym znakiem pozdrowia wtajemniczonych.

*Stefanja Podhorska-Okolów.*



*Książę Raden Mas Jodjana w tańcu z tukiem.*

## Z TAŃCA I MUZYKI



Pani R. M. Jodjana.

Duże zainteresowanie sfer artystycznych Warszawy obudził występ w Teatrze Polskim dwóch tancerzy jawańskich: księcia Raden Mas Jodjana i jego ucznia Roemahlarselana.

Wykonali oni szereg tańców rytualnych i kilka dramatów mimicznych, wykazując nietylko nadzwyczajne opanowanie techniczne, ale i doskonałą harmonję ruchów oraz pełnię ekspresji dramatycznej. Oryginalne melodje tańców jawańskich we własnej transkrypcji fortepianowej wykonała żona księcia Jodjana, Holenderka, pochodząca z kraju Basków, która od kilkunastu lat poświęciła się studjom nad muzyką i kultami religijnymi Wschodu. Odrębność tego zespołu artystycznego polega na tem, iż wszyscy trzej są wyznawcami nauki jogów i prowadzą specjalny tryb życia, według jej wskazań.

## Z TEATRÓW

TEATR MAŁY.

„Jaś z księżycą“ — komedja w 3 aktach Marcelego Achard'a. Przekład Włodzimierza Perzyńskiego. Reżyserja Aleksandra Węgierki. Dekoracje Karola Frycza.

Istnieje jakaś tajemna nić duchowych pokrewieństw między Jasiem Achard'a, a „Głupim Jakóbem“ Rittnera i Franiem ze „Szczęścia Frania“ Perzyńskiego. Wszyscy trzej należą do jednej rodziny ludzi, nie mających poczucia rzeczywistości. Prostu spadli z księżycy.

Tacy ludzie — to gotowy materiał na świętych i na... niedołęgów życiowych. Z jednego drzewa krzyż i łopata. Czędziej łopata, która grzebie szczęście swoje i innych, a najczęściej wyszczerbia się... na kobiecie. Tak się stało z Franiem i z „głupim Jakóbem“.

Jasiowi kazał jego francuski twórca być dzieckiem szczęścia. Jaś ma nietylko wiarę w człowieka, która każe mu ze ślicznego zwierzątka ludzkiego, Marceliny, hodować kwiat-mazanie: on ma tę lunatyczną pewność siebie i swoich systemów wychowawczych, która pozwala jemu, księżycowemu chłopcu, bez zawrotu głowy krążyć nad przepaścią. Tam, gdzie inny kark skręci, tam Jaś przelezie. „Wiara twoja zbawiła cię“. Ale tylko w wyobraźni autora. Moralne i życiowe zwycięstwo Jasia nie jest przekonywujące, ma w sobie coś z lunatycznego koszmaru. Widz w tyradach Jasia węższy bredzenie maniaka i podobnie, jak Marcelina, nie może się zdecydować, czy ma do czynienia z człowiekiem niezwykłym, czy z głupcem.

Nie na samej postaci Jasia polega istotna wartość psychologiczna tej komedji. Jest to sztuka, w której z rzadką wprawą popisuje się swemi wyczynami trio ekwilibrystów monomanji. Marcelina — to chorobliwe uosobienie żarłocności erotycznej, wieczna polawiaczka przygody miłosnej. Najsilniej kocha mężczyznę w chwili, gdy ten ją porzuca. Gotowa się zabić z rozpaczy, aby w pół godziny później być kochanką, lub żoną innego. I za każdym razem to jest dopiero ta wielka, prawdziwa miłość, za każdym razem Marcelina przeżywa ją aż do głębi swej istoty i najzupełniej szczerze w nią wierzy. Jest lunatyczką płci, podobnie, jak Jaś jest lunatykiem ideału.

Koroną kolekcji, typem najbardziej groteskowym, ale które, czy nie najbliższym prawdy życiowej, jest brat Marceliny „Klo-Klo“, z genialną intuicją i porywającym komizmem odtworzony przez Maszyńskiego. Muzyk, który ani jednego tonu nie może czysto zaśpiewać, bo nie ma sluchu. W życiu fałszuje z równą wprawą, jak na fortepianie, nie zdając sobie sprawy ani ze swoich kogutów muzycznych, ani z fałszywej sytuacji życiowej. Jeszcze jeden człowiek nierealny. Komplet — towarzystwo z księżycą.



Maszyński, jako Klo-Klo i Romanówna jako Marcelina w „Jasiu z księżycą“.



Rola tytułowa, najtrudniejsza, bo spleciona z samych nie-domówień, półcieni, blasków księżycowych, w interpretacji Węgierki nie wyszła naturalnie i szczerze. Robiła wrażenie wymę-czonej, nadmiernie przestudjowanej, przerysowanej. Znać było rozmysł i robotę w rozlokowaniu akcentów, w mozolnem wydo-bywaniu efektów. Jaś z księżycą od początku do końca powi-nien być wizjonerem, musi się narodzić z intuicji.

Ktoś powiedział, że to rola dla Osterwy. Może. W każdym razie Osterwa ma lepsze warunki zewnętrzne na Jasia z księżycą.

Romanówna była uroczą i zajmującą Marceliną. Może trochę za mało było w niej tego erotycznego opętania, które mo-głoby stanowić przeciwwagę i odpowiednik księżycowej magji Jasia.

Jako reżyser, Węgierko okazał się większym wirtuozem od aktora. Sztuka i jej interpretacja jest ciekawym wydarze-niem w życiu teatralnem Warszawy.

S. P. O.

## KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU



Anna Pawłowa.

### ŚMIERĆ GWIAZDY.

W Hadze, podczas tournée artystycznej zmarła sławna tancerka rosyjska Anna Pawłowa. Taniec jej nie był sztuką no-woczesną, ale jako wyraz dawnych prądów w choreografji, był wcieleniem prawdziwego piękna. Cudowna technika i lekkość Pawłowej, jej romantyczna ekspresja zachwycaly publiczność do ostatniej chwili. Pomimo niepierwszej już młodości i dużego majątku, Pawłowa nie zaprzestała występów. Zmuszona, po przewrocie bolszewickim, do wyjazdu z Rosji, tańczyła w Ja-ponji, w Indjach, Ameryce i w wielu miastach Europy, budząc wszędzie wrażenie doskonałego piękna. Ten rodzaj tańca skoń-czył się z jej śmiercią.

### NIEZWYKŁA KARJERA.

Z fermerki, pracującej na kawałku roli, zostać pełną de-legatką do Ligi Narodów, to, przyznać trzeba, skok duży. Taka jest jednak karjera pani Ireny Parlbey, tegorocznej delegatki Kanady. W r. 1896 jako młodzianka dziewczynka, przybyła do Kanady, gdzie zaślubiła średnio zamożnego fermera. Do 1914 roku nie miała możności poświęcić się pracy społecznej, mieszkając w dzikiej prawie okolicy. Potem jednak rozpo-częła energiczną działalność w związku fermerów kanadyj-skich, organizując tam sekcję kobiecą, przetworzoną później w oddzielny związek fermerek, którego została przewodniczącą. Działalność jej zataczała coraz szersze kręgi, obejmując sprawy ochrony pracy, zdrowia i opieki nad dziećmi. W r. 1921 pani Parlby została, przy zmianie rządu, mianowana ministrem bez teki, w roku zeszłym otrzymała nominację na delegatkę Ligi Narodów.

### POLSKA PANI-SEDZIA W PARYŻU.

Międzynarodowy Związek adwokatów i sędziów-kobiet w Paryżu urządził przyjęcie dla pani Wandy Grabińskiej z oka-zji jej przyjazdu. Na bankiecie, który zgromadził przedsta-wicieli sfer oficjalnych i palestry paryskiej, pani Grabińska wy-głosiła przemówienie, przyjęte owacyjnie przez zebranych.

## Z UBIEGŁEGO TYGODNIA

Po zakończeniu styczniowej sesji Rady Ligi Narodów, p-minister Zaleski zdał w Sejmie sprawozdanie z obrad Ligi.

Pomijając sprawę śląską, o której pisaliśmy już obszer-nie na tem mlejsset, sesja Rady Ligi obfitowała w inne ciekawe momenty i sprawy, zahaczające o całokształt stosunków mię-dzynarodowych, obchodzących żywo i państwo polskie.

Na pierwszy plan wysunęła się sprawa ekonomiczna, ciężko bowiem z nią jest, i to, jak wiadomo nie tylko w Europie. Już w 1927 r. Liga Narodów opracowała projekt międzyrodo-wej Konwencji ekonomicznej. Uwzględniono w nim przede-wszystkiem postulat zaprzestania wojen celnych i systemu pro-tekcyjizmu między państwami. Może i byłoby coś korzystnego z tej konwencji, gdyby wprowadzono ją w życie. Większość rządów jednak nie ratyfikowała jej, pozostając przy dawnym systemie celnym. Położenie, zwłaszcza rolnictwa, jest ogólnie ciężkie i bez przedsięwzięcia środków zaradczych wspólnemi siłami całego świata cywilizowanego się nie obejdzie; będa, że o te wspólne siły jest trudno. Obecnie podstawą wszelkich roko-wań staje się położenie ekonomiczne krajów rolniczych, a przede-wszystkiem uchwały konferencji ekonomicznej warszawskiej z ubiegłego roku. Z uchwałami tej konferencji liczy się Liga jaknajpoważniej. Komisja ekonomiczna wyraziła życzenie, aby wszystkie państwa wzięły tę sprawę pod uwagę i ratyfikowały konwencję z 27 r.

Pozatem omawiano na sesji sprawę Pan-Europy i przy-gotowań do nowej konferencji rozbrojeniowej w 1932 r.; oby się lepiej udało, niż zeszłoroczna.

Jako nowy przyczynek do stosunków polsko-niemieckich, przybyły teraz sprawy lotnicze. Od czasu objęcia przez Polskę wybrzeża, zdarzyło się, bodaj czy nie kilkanaście razy, że na tem wybrzeżu lądowały i wodowały zabłąkane samoloty i hy-droplany niemieckie. Władze polskie udzielały lotnikom wszel-kiej pomocy, a oficerowie gościli ich w Kasynie i oprowadzali po Gdyni.

Ta rycerska nauka poszła, niestety, w las. Gdy przed pa-ru tygodniami lotnicy polscy Wolf i Imiela zmuszeni zostali, wskutek zepsucia się motoru, do lądowania na terytorjum Rze-szy, zamknięto ich w więzieniu, wytoczono proces i skazano. Ano, i, jak wywołana, przyszła „z nieba” sprawiedliwość. W tych dniach „zabłąkał” się w Poznańskim lotnik niemiecki Gruss i wylądował pod Wolsztynem. Dano sobie jednak tym razem spokój z rycerskością i aresztowano pana Grussa. I cóż się okazało? Samolot był w porządku, a lotnik posiadał aparat fotograficzny, który starał się ukryć.

Ładny „wypadek” lotniczy!

## RESTAURACJA KOBIECA.

We Francji rozwija energiczną działalność stowarzyszenie ognisk kobiecych. Dopomaga ono głównie kobietom pracującym, tworząc dla nich tanie schroniska, jadłodajnie i biura pośrednictwa pracy. Świeżo otwarto w Paryżu jadłodajnię dla robotnic. Jest to olbrzymi lokal, obliczony na to, aby mogło w nim zasiąść do posiłku 400 osób od razu. Pory posiłków są dwie: od 11 — 2-je śniadanie i od 7 — 9 obiad. W dniu otwarcia wydano 500 obiadów.

## KOBIETA KOMANDOREM.

Znakomita autorka francuska, pani de Noailles, otrzymała Komandorję Legji Honorowej.

## SĄ TACY, KTÓRZY NIE CHCĄ TANICH POMARAŃCZ.

Od dwóch lat już głos publiczny domaga się zniesienia cła na pomarańcze, które w żadnym razie nie zasługują chyba na miano „przedmiotu zbytku“, są bowiem bogatym w witaminę owocem, niezastąpionym przez inne. Teraz nareszcie sprawa pomarańcz zdawała się bliska pomyślnego załatwienia. Ministerstwo Przemysłu i Handlu było skłonne udzielić Lidze Zdrowia prawa na sprowadzenie kilkudziesięciu tysięcy kilogramów pomarańcz. Cena wynosiłaby, z uwzględnieniem cła, transportu i pewnego zarobku, 90 gr. za kilogram. Transport miał być przeznaczony dla członków Ligi Zdrowia. I cóż się okazało? Oto Ministerstwo zwróciło się o opinię do sfer kulinarnych, które stanowczo zaprotestowały przeciw tej transakcji!

## DZIAŁALNOŚĆ OSZCZĘDNOŚCIOWA P. K. O. W R. 1930

Jednym z podstawowych kierunków działalności P. K. O. — jest działalność oszczędnościowa. Akcja oszczędnościowa P. K. O. ma za zadanie z jednej strony popularyzację idei oszczędności wśród szerokich warstw naszego społeczeństwa, z drugiej zaś strony akumulację kapitałów oszczędnościowych, oraz udostępnienie najdogodniejszych i możliwie wszechstronnych sposobów oszczędzania. W wykonaniu tych zagadnień prowadzi Instytucja stałą i systematyczną propagandę oraz rozbudowuje i udoskonala swój techniczny aparat zbiorczy w postaci Kas Centrali, Oddziałów, ekspozytur i urzędów pocztowych.

Rok 1930 przynosi instytucji w tym kierunku dalszy ogromny sukces, który znajduje wyraz w ogromnym wzroście kapitałów oszczędnościowych oraz liczby oszczędzających. Wyniki cyfrowe działalności oszczędnościowej P. K. O. w roku 1930 przedstawiają się następująco: kapitał oszczędnościowy wzrósł w tym okresie o kwotę 79,4 milj. zł., gdy w roku ubiegłym (1929) odpowiedni czysty procent kapitału wynosił tylko 45,2 milj. zł. Ogólny stan kapitałów oszczędnościowych P. K. O., łącznie z wkładami, pochodzącymi z waloryzacji, wynosił w dn. 31.XII 1930 r. kwotę 253,7 milj. Z kwoty tej przypadało:

na wkłady oszczędnościowe zwyczajne	207,4	milj. zł.
na wkłady oszczęd. w złot. w złocie	5,5	„ „
na wkłady oszczęd. premjowane	7,0	„ „
na wkłady oszczęd. zwaloryzowane	33,8	„ „

Razem 253,7 milj. zł.

Jeśli chodzi o ilościowy wzrost działu oszczędnościowego P. K. O., to był on również znacznie silniejszy w r. 1930, niż w latach ubiegłych. W ciągu roku sprawozdawczego pozyskała P. K. O. 220.977 nowych uczestników obrotu oszczędnościowego. Czysty przyrost liczby oszczędzających w P. K. O. w r. 1930, po uwzględnieniu książeczek zlikwidowanych, wynosił w roku sprawozdawczym 169.507. Ogólny stan czynnych książeczek oszczędnościowych P. K. O. wynosił w dniu 31.XII 1930 r. — 563.127, zaś łącznie z książeczkami, pochodzącymi z waloryzacji — 605.547 książeczek. Z liczby tej przypadało na:

książeczki oszczędnościowe zwyczajne	503.799.—
książeczki oszczędnościowe premjowane	57.655.—
książeczki oszczędnościowe w złotych w złocie (kraj. i emigrac.)	1.673.—
książeczki oszczędnościowe, pochodzące z waloryz.	42.420.—
Razem	605.547.—

Jeśli chodzi o udział poszczególnych warstw i grup społecznych w obrocie oszczędnościowym P. K. O. to najliczniejszą grupę oszczędzających w P. K. O. stanowił świat pracowniczy. Tak więc, biorąc pod uwagę urzędników, wojskowych, pracowników biurowych i handlowych — grupa ta liczyła w dniu 31.XII 1930 r. — 161.648, czyli 28,7 proc. ogólnej liczby oszczędzających w P. K. O.

Drogą z kolei, bardzo liczną grupę oszczędzających w P. K. O. stanowiła młodzież szkolna i dzieci. Posiadała ona 144.540 książeczek, czyli 25,6 proc. ogólnej liczby. Pod względem kwotowym, a więc sumy wkładów, grupa ta, oczywiście, stoi na jednym z dalszych miejsc. Trzecią wreszcie, stosunkowo bardzo liczną grupę oszczędzających, stanowili robotnicy i rzemieślnicy, którzy posiadali w P. K. O. 93.268 książeczek oszczędnościowych, czyli 16,5 proc. ogólnej ich liczby. Cyfry te świadczą, iż działalność oszczędnościowa P. K. O. dotarła do najszerszych warstw naszego społeczeństwa. Jeśli ponadto zważywszy, iż przeciętny stan jednej książeczki oszczędnościowej wynosił w końcu 1930 r. — 390 zł., to widzimy, iż kapitały, nagromadzone w P. K. O., mają charakter ściśle oszczędnościowy. Rozwój działu oszczędnościowego P. K. O. w okresie kilku lat ostatnich przedstawia się następująco:

	wkłady w milj. zł.	liczba oszczędzających
R. 1926	24,6	113.201
„ 1927	67,6	179.643
„ 1928	122,3	298.343
„ 1929	172,9	434.305
„ 1930	253,7	605.547

Z cyfr powyższych widzimy, iż w okresie lat 1926 — 30 kapitał oszczędnościowy P. K. O. wzrósł przeszło dziesięciokrotnie, zaś liczba oszczędzających w P. K. O. — sześciokrotnie. Gdy zaledwie 3 lata temu 1 książeczka oszczędnościowa P. K. O. przypadała u nas na 170 mieszkańców, to z końcem r. 1930 książeczkę oszczędnościową P. K. O. posiadał już co 50-ty mieszkaniec.

Cyfra 605 tysięcy oszczędzających i 254 milionów kapitału jest już, jak na nasze stosunki, cyfrą imponującą i dowodzi ona, iż P. K. O. stała się instytucją, ogniskującą przeważną część ruchu oszczędnościowego w Polsce.

T. Dziekoński.

# NA CAŁYM ŚWIECIE KARNWAŁ

Carne Vale, od tych starych słów *pożegnania* dla potraw mięsnych bierze nazwę cały wesóły okres karnawałowej zabawy. Różne narody pojmują ją i uprawiają różnie. W ciepłym klimacie Jasnego Brzegu karnawał wychodzi na ulice, strojny w kwia-



*Dwie sceny z karnawału w Nicei.*



ty, na północy tańczą na lodzie. Wszędzie jednak istnieje tendencja do malowniczych kostjumów, no i do tańca. Bawią się i dzieci, nie gardząc również przebraniem.

Na jednej z rycin widzimy poradnię kostjumów w Berlinie. Nowość tę należałoby naśladować, nastęrcza ona bowiem bardzo szerokie i ciekawe możliwości wprowadzenia do pustej zabawy wysokich walorów artystycznych. W okresie romantycznym we Francji znakomite artystki dramatyczne ówczesne wprowadziły modę balów w kostjumach hi-



*Dziecięcy Klub Pickwicka w Londynie: zabawa w strojach dickensowskich.*



*Poradnia kostjumów karnawałowych w Berlinie.*



starych. Zabawy te były niezwykle malownicze, szerzyły znajomość i kult artystycznych, stylowych ubrań. Dziś jakżeby można rozszerzyć i podnieść te pojęcia, gdyby w poradni takiej wzięli udział artyści.

## ZAWODY W KRYNICY

Program imprez w Krynicy przedstawiał się nadzwyczaj obficie i bogato. Biegi Krynica — Żegiestów, konkursy skoków i biegi skikjöringowe, saneczkowe mistrzostwa Polski, pokazy międzynarodowe, mistrzostwa świata (hokej) oraz wspaniały bal kostjumowy, na wielkim torze ślizgawkowym! Nic więc dziwnego, że na te nadzwyczaj urozmaicone imprezy zjechało dużo gości z kraju i zagranicy, a świat dyplomatyczny zaszczylił swą obecnością i uświetnił jeszcze bardziej karnawał sportowy w Krynicy. Z racji tych niebywałych mistrzostw, wydano około 500 medali pamiątkowych, przedstawicielom prasy, gościom i uczestnikom, według wzoru, skomponowanego przez świetną artystkę-rzeźbiarkę Z. Trzciańską-Kamicą. Jak wielkie zaintere-



Ryciny nasze przedstawiają: na lewo drużyny francuską i kanadyjską, na prawo fragment z zawodów, u dołu posąg z lodu.

sowanie obudziły zawody w Krynicy w kraju i zagranicą, świadczy fakt, że biuro filmowe Fox wysłało do Krynicy swych operatorów, którzy wykonają film dźwiękowy z odbytych tam zawodów. Radio również stanęło na usługi sportu, tak, że mistrzostwa świata w Krynicy były transmitowane przez wszystkie rozgłośnie polskie, a nasi laureaci przemawiali o różnych rodzajach i sposobach rozgrywających się meczów.



Zwycięzcom rozdano: Puchar Pana Prezydenta Rzplitej dla mistrza świata (Kanada), nagrodę Marszałka Piłsudskiego dla mistrza Europy (Austria) oraz trzy nagrody, dla 3-ich pierwszych drużyn w klasyfikacji. Po zaciętych walkach „mistrzostwo świata” zdobyła niezwyciężona drużyna kanadyjska. Drugie miejsce zajęła U. S. A. „Mistrzostwo Europy”, wbrew oczekiwaniom, przypadło Austrii. „Wicemistrzostwo” Polsce; z punktacji tej powinniśmy być szczególnie dumni, gdyż hokej jest u nas jeszcze mało rozpowszechniony. Piąte miejsce zdobyli czesi, szóste zaś Szwecja.

Emka.



# NASZA MÓWNIKA

## Bądźmy wesole.

Jako stała czytelniczka „Bluszczu“ i gorąca zwolenniczka „Mównicy“, chcę rzucić w sferę zainteresowań i omówić sprawę, poruszaną obecnie dość często: sprawę śmiechu w Polsce. Zaznaczam zgóry, że poruszę tylko jeden odcinek, bliżej mi znany: warsztat pracy zawodowej, i postaram się wykazać, co znaczy śmiech kobiecy i jakie są jego losy.

Pośród kobiet, z którymi się stykam w pracy zawodowej już od lat 16-tu, widywałam różne typy, a najwyżej stawiam „kobietę do tańca i do różańca“. Typy te są jakby stworzone do zgodnej, nieraz bardzo mozolnej pracy, wnoszą w nią szczerą zapał, zachowując zawsze energię, wesołość, optymizm i ten szczerą, złoty uśmiech, z jakim dobry, czysty człowiek zwraca się do bliźniego. Do pracy zawsze gotowe, mało mówiące o zmęczeniu, wyczerpaniu, jednakowo wesole w towarzystwie damskim, czy męskim, swobodne, śmiejące się, śpiewające na wycieczce, jak dzieci, słowem, typy młode i naturalne, silne.

Kobiety takie nazywam „uśmiechem życia“. Patrząc na nie i podziwiam. Często zrezygnowały z osobistego szczęścia i w pracę zawodową włożyły swą duszę i zapał, zawsze młody, entuzjastyczny. Porozmawiać z nimi to znaczy orzeźwić się, pokrzepić, zabawić.

Znaczna jednak część kobiet traci w pracy zawodowej zdrowie i siły, a w rezultacie zmienia psychikę, gaśnie, szarzeje.

Spotyka się także często kobiety, wyżej wykształcone, ale tak „namaszczone“, że trudno się do nich zbliżyć ze zwykłym uśmiechem lub dowcipem, bo mrozą wprost na odległość. Specjalnie ciężki do współżycia jest typ tych „wielkich, wyższych dusz“ na arenie codziennej, szarej pracy. Kobiety takie jakby nie znały serdeczności, ani śmiechu. Towarzystwo innych kobiet jest nuży, dla koleżanek nie są w stanie zdobyć się nawet na uprzejmy wyraz twarzy, siedzą w ich towarzystwie z miną istot torturowanych. Uśmiech, serdeczność, mają tylko dla mężczyzn, w ich towarzystwie dopiero promieniają, śmieją się, są „zwykle“ tą zwykłością, którą u koleżanek potępiały z wysokości swego majestatu.

Pierwszy typ uważam za nader dodatni, wart naśladowania, zasługujący na szacunek; drugi, to nadęta hipokryzja, gasząca radość życia. Szczególnie młode kobiety, wstępujące na arenę życiową, należy przekonać, że śmiech był, jest i pozostanie radosną fanfarą życia. Nie wstydzmy się go, opromieniamy nim drogi życia bliźnich i swoje. Śmiać się może każdy, nawet bardzo „wykształcony“. Uważajmy za kobietę niekulturalną tę, która w jakimkolwiek towarzystwie (a specjalnie kobiecym) siedzi nadęta jak paw, lub święta i namaszczona, jak nieetykalne tabu. Pamiętajmy, że człowiek kulturalny umie się dostosować do każdego środowiska, stara się je podnieść, dać mu coś z siebie. Mądrzy niech świat uczą, weseli niech światu dają radość, której dziś, niestety, tak mało!

Specjalnie zaś do pracy zawodowej wnosimy pogodę, no i starajmy się wytworzyć między sobą atmosferę kulturalnego, miłego współżycia, opartego na szczeroci i prawdzie. Żart, uśmiech, sport, piosenka mają prawo do życia i przełamują wszystkie barjery przesądu, sztucznego namaszczenia, hipokryzji. Kobieta „do tańca i do różańca“ musi zwyciężyć w Polsce.

Z. S.

## Coś o „lepszości“ kobiecej (w odpowiedzi p. Strzeleckiej).

Artykuł p. Strzeleckiej o „lepszości“ kobiety targnął mą odręczoną duszą i, chcąc sobie ulżyć w swej rozterce, pragnę opisać, co mnie spotkało od kobiety za społeczną pracę.

Przed rokiem sprowadziłam się na Podole, gdzie mąż,

objął posadę w administracji jednego z majątków. Jak zwykle i wszędzie, tak i tu zaczęłam się rozglądać, czy nie dałoby się co zrobić na niwie społecznej, a równocześnie poznawałam wieś, stosunki ruskie i polskie.

Rusini, świetnie zorganizowani, mają tu 5 sklepów spółdzielcze i czytelnię (ze sceną), gdzie co niedziela się schodzą.

Ponieważ wieś, w której mieszkam, dzieli się na dwie części: Starą Wieś, zamieszkałą przeważnie przez rusinów, i t. zw. Szlachtę, gdzie mieszkają polacy, ja zaś mieszkam na Starej Wsi, więc rusinów poznałam prędzej.

Sądziłam wówczas, że spotkam się z polską organizacją o wiele silniejszą, a w każdym razie nie mniejszą od ruskiej, którąby, nawiasem mówiąc, można postawić za przykład. Niestety, spotkało mnie rozczarowanie: spółdzielni żadnej, a czytelnia to istny obraz nędzy i rozpaczy: lepianka z błota, odrapaną, pełną dziur; na środku kupa śmieci, jakiś stółek o trzech nogach; scenka, dopiero zaczęta przez domorosłego budowniczego.

Uklulo mnie coś, jak to mówią, pod serce, stanęła mi czytelnia ruska w oczach i sama się zawstydzila. Szukam młodzieży, wypytuję, i dowiaduję się, że polska czytelnia buduje się od czterech lat, że Koło młodzieży istnieje (przewodniczącym jest p. nauczyciel), ale członków mają niewiele, dobrze, że wystarczyło na wybranie zarządu, no i na tem działalność tego Koła się kończy.

Zaczynam przemawiać im do serca, daję na wzór rusinów; tłumaczę się, iż nie ma kto ich poprowadzić. No, dobrze! to ja wam pomogę. Wybieramy nowy zarząd Koła, cały z młodzieży, tylko pod moim kierunkiem. Robimy kilka przedstawień, za zdobytą gotówkę doprowadzamy czytelnię do stanu używalności, poprawiamy jej wygląd.

Góra nasi!! Idzie nam wszystko, co prawda, po grudzie, ale idzie. Porobiłam znajomości, mam obiecaną pomoc od działaczki społecznej na cały powiat p. K., która przyrzekła mi sprowadzić Kurs korespondencyjny rolniczy ks. Staszica; opracowaliśmy program na zimę; miałam założyć dla dziewcząt bezpłatne kursy robót ręcznych, kurs dokształcający (języka polskiego, geografii i historii polskiej). Wogóle zapowiadało się świetnie, ks. proboszcz wyraził zadowolenie z mej pracy, której skutki były widoczne.

Lecz praca ta nie podobała się, niestety, żonie chlebobawcy mego męża i w zupełnie prosty sposób przerwała moją „działalność“: wymówiono memu mężowi posadę i od 1 stycznia b. r. powiększyliśmy liczbę bezrobotnych. Mąż, pragnąc się dowiedzieć przyczyny wypowiedzenia mu posady, chciał się widzieć z właścicielem majątku, lecz nie został dopuszczony przed jego oblicze.

Kamarylla dworska ostrzegala mnie, że właścicielka nie lubi, by urządzić przedstawienia i zajmować się młodzieżą. Jakże miałam wierzyć ludziom z gminu? przecież właścicielka ziemska, pani na pięciu majątkach, inteligentna, powinna sobie zdawać dokładnie sprawę z pracy dla polskości, szczególnież tu na Podolu, na Kresach.

Pracowałam i pracować będę dla swego społeczeństwa, mimo to, że dzieci moje zagrożone są brakiem chleba.

Ale jakiego rodzaju uczucia budzi taki fakt! Z jednej strony narzekamy na brak ludzi do pracy, na zastój prowincji, na brak poczucia obowiązku społecznego. Jakżeż tu ruszyć z posadą tę bryłę inercji i obojętności? Wogóle trudno, a cóż, gdy takie są przeszkody. Ci ludzie, którzy powinni by więcej, niż inni poświęcić się pracy społecznej, mogąc wnieść do niej wyższą kulturę, większe środki materialne, czas, wszystko, ci właśnie stają wpoprzek usiłowaniam, zamiast je poprzeć. Smutne to doprawdy.

Gdyby kto wątpił w prawdziwość moich słów, mogę się powołać na wiarygodnych świadków, że takie kobiety, i to ze sfery ziemiańskiej, jeszcze istnieją. Leonarda W. z Podola.

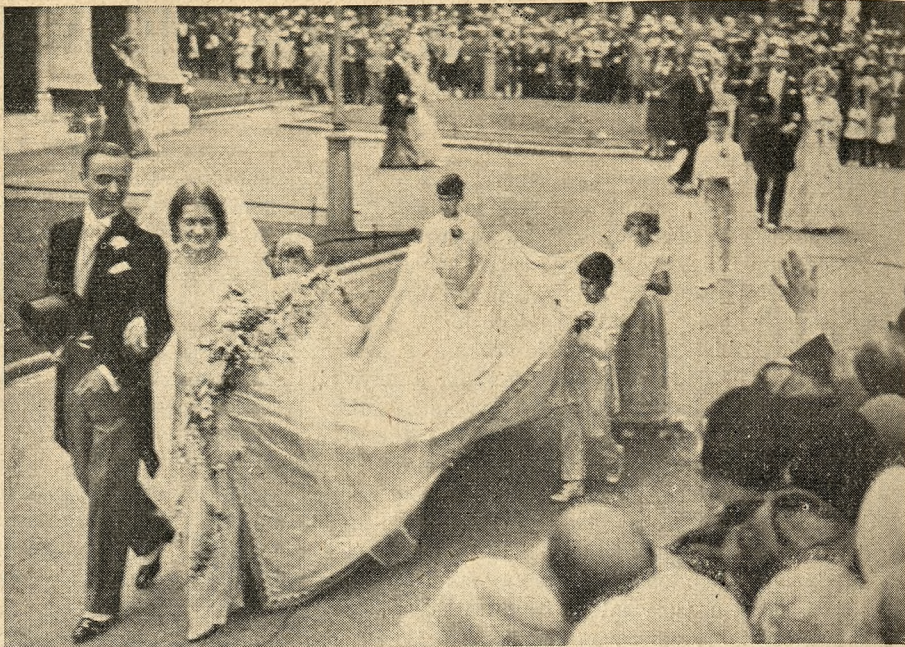
## WESELE ZA OCEANEM

Gromadki zaciekawionych ludzi przed rześcicie oświetlonym kościołem — to wyraz zainteresowania, jakie zawsze i wszędzie budzi każdy ślub. Zainteresowanie wzrasta proporcjonalnie do jakości ślubu, wywołując w widzach gorycz i niezadowolenie, jeżeli wypada im pozostać cały czas wyłącznie... na chodniku.

U nas ślub w zamkniętym kościele, dostępnym jedynie dla zaproszonych gości, należy do coraz radszych osobliwości. Wpływa na to nietylko stan ekonomiczny kraju, ale i jakiś dziwny pęd do bagatelizowania tej uroczystej chwili życia i do sprowadzania związanych z nią ceremonii do niezbędnych formalności.

Inaczej na ślub zapatruje się Zachód. We Francji odbywają się one z uroczystym ceremoniałem. Specjalni artyści-dekoratorzy robią projekt całego orszaku ślubnego, od sukni panny młodej poczynając, aż do toalet druzhen, które, według wymagań mody, ubrane są jednakowo, w jednym kolorze. Różnica polega na stonowaniu tej barwy i, stosownie do tego, orszak ustawia się od najjaśniejszego tonu ku najciemniejszemu, lub naodwrot.

Konserwatywna Anglja, lubująca się w tradycji, rezerwuje na śluby specjalne godziny, od ósmej rano do trzeciej po



Angielskie „babe's” dźwigają tren panny młodej.

Tort ślubny imitujący postać panny młodej.



południu, gdyż ślub odbywa się zawsze po nabożeństwie. Panna młoda tonie we wspaniałej bieli, pan młody występuje w stroju żakietowym ze wszystkimi niezbędnymi akcesorjami, poczynając od białych gietrów, a kończąc na cylindrze. Drużny ubierają się jasno i jednakowo, kładąc do toalet kapelusze ze względu na wczesną porę. Nieodzownym składnikiem

każdego orszaku są dzieci—te śliczne, wypielęgnowane, angielskie „babe's”. Ubiera się je w stroje stylowe. Dziewczynki przywdziewają długie suknie i czepeczki, chłopcy długie spodnie i fraczki. Babe's, połyskując jedwabiem, dźwigają tren panny młodej, a jeden z chłopców zawsze uroczystie niesie poduszkę z obrączkami.

Wszystkie te zwyczaje znalazły spotęgowany oddźwięk w Ameryce, gdzie obrzęd ślubny i wesele przybierają dla nas formę... jakiejś bajkowej feerji. Na trzy miesiące przed ślubem rodzice panny młodej zwracają się o pomoc do „biura życia towarzyskiego”. Wspólnymi siłami układane są listy gości, którzy mają być zaproszeni i lista zawiadomień do rozesłania. Liczba ich w rodzinach bogatych dochodzi do pięciu tysięcy, a są wesela, na których przyjmuje się po trzy tysiące osób. Goście rekrutują się z pośród rodziny, przyjaciół, znajomych i z list osób, należących do towarzystwa, których wykazy prowadzi „biu-



Dzieci, stylowo ubrane do orszaku ślubnego.



*Małeńkie, jednakowo ubrane drużny.*

ra życia towarzyskiego". Biuro dopomaga w zakupieniu wyprawy, w urzędzeniu ślubu, przyjęcia weselnego, porozumiewa się ze wszystkimi dostawcami.

Panna młoda wyjeżdża często do Paryża po wyprawę, wydając nieraz zawrotne sumy. Poza to bawi się. Bo rodzina, drużny, wszystkie przyjaciółki wydają dla niej przyjęcia. Nadchodzą też prezenty. Zwyczaj pozwala nadsyłać je od dnia zaręczyn do dnia pierwszej rocznicy ślubu. Prowadzone są specjalne rejestra prezentów, w których zapisuje się nazwisko ofiarodawcy, datę i firmę, z której dar pochodzi. Przyjęta jest zamiana prezentów i ujawnianie upragnionych rzeczy.

Przed terminem ślubu przygotowuje się suknię ślubną z kosztownego jedwabiu, lamy, koronki, w cenie od 100 do 150 dolarów. Zdobę ją piękny welon, bardzo często z prawdziwej koronki, wydobytej z domowego archiwum, lub kupionej za wiele dolarów. Na pewien ślub odebrano z muzeum bezcenną koronkę, oddaną tam na przechowanie. Pocięto ją, zrobiono suknię ślubną, a potem odesłano do Brukseli, do koronczarek, skąd w pierwotnej formie wróciła do muzeum.

Dużą rolę gra bukiet ślubny. Wybiera go matka panny młodej, płaci pan młody, nieraz 250 dolarów, jeżeli bukiet zrobiony jest z przedziwnych, egzotycznych kwiatów.

Ślub odbywa się w jednym z uprzywilejowanych kościołów, najczęściej w takim, gdzie rodzina cała spełnia od szeregu pokoleń obrządku religijne. Specjalni dekoratorzy ozdabiają kościół nie tylko zielenią, ale powodzią białych kwiatów, kunsztownie rozmieszczonych, i specjalnie oświetlają, zachowując jednak charakter zupełnie kościelny.

Nazewnątrz kościoła ciągnie się chodnik, osłonięty baldachimem, chroniącym orszak od deszczu, często z bocznymi ścianami, żeby osłonić od zbyt ciekawych spojrzeń. Policja reguluje ruch kołowy, nieraz przez szereg godzin, a wewnątrz kościoła służba wska-

zuje gościom miejsca, zgóry oznaczone na zaproszeniach.

Panna młoda, na której skupia się uwaga wszystkich, spóźnia się nieco, zgodnie ze zwyczajem. Idąc za przesądem, ma na sobie „coś nowego, coś starego, coś pożyczonego i coś niebieskiego". Wchodzi, poprzedzana orszakiem druhen, i spotyka się przy ołtarzu z panem młodym, który przybywa sam, cicho i skromnie. Drużny, których ilość waha się od 2 do 12, ubrane są jasno, jednakowo, czasem białe, tylko w kolorowych kapeluszach i z barwnymi bukietami. Zwyczaj zezwala, żeby drużniami były młode mężatki. Jeżeli drużna jest niezamożna, lub stroje bardzo wymyślne, panna młoda sprawia je sama. Poza to daje zawsze drużnom prezenty na pamiątkę. Pan młody obdarowuje drobnymi upominkami drużbów, którzy obowiązani są znać towarzystwo.

Obrączki są kosztowne, złote lub platynowe, ozdobione brylantami.

Po ślubie odbywa się przyjęcie w domu rodziców, albo w lokalu klubowym, czy restauracyjnym. Menu jest kosztowne i kunsztowne. Na weselu bywa dancing.

Gra orkiestra, czasem dwie lub trzy, lokal udekorowany wspaniale, gości bywa do półtora tysiąca. Przyjęcie z danciem kosztuje do pięciu tysięcy dolarów. Właściciele lokali restauracyjnych wysilają się, żeby obmyślić jakąś niespodziankę dla państwa młodych. Naprzykład hermetycznie zamkniętą puszkę, zawierającą tort panny młodej, z napisem, że puszkę można otworzyć w dwadzieścia lat od daty ślubu.

Kulminacyjnym punktem przyjęcia jest chwila, kiedy panna młoda kraje „tort panny młodej". Ze sposobu, w jaki to robi, wróżą, czy będzie dobrą gospodynią. Tort musi być śnieżnej białości, ozdobny, udekorowany kwiatami. Kosztuje nieraz setki dolarów. Kształt ma przeróżny. Robią go czasem w formie du-



*Panna młoda kraje „tort panny młodej“.*

zej lalki, ubranej za pannę młodą. Każdy gość dostaje w upominku ciastko, zrobione z tego samego ciasta, co tort, ozdobnie zapakowane w białe pudełeczko, przewiązane wstążką.

Po weselu państwo młodzi wyjeżdżają w podróż poślubną, najczęściej zagranicę. Wracają z uroczej podróży, bardzo często do skromnego domku, złożonego z trzech, czterech pokoi i obsłużonego przez jedną służącą. Rozpamiętują wspaniałości wesela — te wspaniałości, które amerykańskie lubią nadewszystko.

M. Dobrowolska.

## OŚMIOGODZINNY DZIEŃ PANI DOMU

(dokończenie)

Smutne jest, że właśnie te młode córki, będące w domu, nie pomyślą ani przez chwilę, że w matce łatwo mogą dojrzeć własne swe odbicie w niedalekiej przyszłości. Wystarczy, by same wyszły zamaż i stworzyły domy rodzinne, a nawet się nie spostrzegą, kiedy uzupełnią zastępy swych matek. A przecież we własnym wyobrażeniu stawiają się daleko wyżej od swych matek.

Jeśli chodzi o hasła, o teorje — to kobiecie stawia się duże wymagania i wytycza szlachetne obowiązki. Tylko jednocześnie stawia się ją w takich warunkach, które jej spełnienie tych obowiązków uniemożliwiają.

Odpowiedzialność kobiety za powierzone jej zadania sięga bardzo daleko. Ma ona jednocześnie być organizatorką życia rodzinnego, administratorką wspólnego dobra, towarzyszką mężczyzny i kierowniczką swych dzieci. A jeśli kobieta spełnia te obowiązki, w miarę swej możności i przeświadczenia jaknajlepiej i w nagrodę nie otrzymuje nawet dowodów uznania i poszanowania dla swej pracy?

Wtedy to miażdży ją psychicznie przeświadczenie o własnej bezwartościowości. Pozbawiona radości życia i owocności wysiłków, zatracą poczucie godności człowieka i chęć do walki o swoje i o cudze prawa.

Zgodziwszy się, że kobieta, pędząca życie w podobnie okaleczalnych warunkach, nie może spełniać swych zadań i obowiązków należycie, żeby uzdrowić ogół, trzeba zreformować przede wszystkim egzystencję jednostek.

Racjonalne wyrównanie czasu, przeznaczonego na pracę, wypoczynek i troskę o potrzeby osobiste, zarówno fizyczne, jak duchowe i umysłowe — może jedynie podnieść poziom życia kobiety, zharmonizować stan jej zdrowia i nerwów, oraz przyczynić się do wydajności i sprężystości prac.

Jakież więc są drogi do zrealizowania tych zamierzeń?

Pierwszą i najskuteczniejszą jest ugruntowanie w kobiecie przeświadczenia, że *praca nieustanna nad rozwojem własnym jest najważniejszym jej obowiązkiem*, i że czas na tę pracę znaleźć musi. Drugim czynnikiem, niemniej ważnym, jest współdziałanie kobiety w życiu społecznym, w *życiu istniejącem nazeewnątrz domu* rodzinnego, który często murem chińskim odgradza kobietę od świata.

Wreszcie, jedynym ogniwem, racjonalnie spajającym wszelkie zainteresowania i obowiązki kobiet w nierozdzielalną całość, jest *przebudowa gospodarstwa*

*domowych*, dostosowanych do współczesnego tempa życia.

Gospodarstwo było, jest i pozostanie wyłączną troską kobiety. Od tego nie wyzwoli się ona bez uszczerbku nie tylko dla ogółu społeczeństwa, lecz i dla siebie samej. Dlatego też reform szukać należy nie w zwalczaniu gospodarstwa domowego, lecz w jego mądrej, celowej normalizacji.

Znormalizowanie domu uzyskać można trzema sposobami: *Przez wprowadzenie do prac domowych nowoczesnych przyrządów i udogodnień technicznych*, co jednak pociąga za sobą poważne wydatki, na które nie wszyscy zdobyć się mogą. Drugi sposób propaguje przebudowę gospodarstw domowych *bez kosztów*, jedynie przez zastosowanie praktyczne nowych metod pracy, co posiada wielką zaletę — osiągalności dla wszystkich. Trzecią wreszcie drogą jest *oddziaływanie na opinię*.

Jest to może czynnik najważniejszy, choć, jak dotychczas, zaniedbany, który jednak pozwoli na przewartościowanie istniejących pojęć o pracy kobiecej w domu.

Racjonalna organizacja gospodarstwa domowego wypowiada się w celowym ukształtowaniu warsztatu samej pracy, jej metod i w doborze naczyń pomocniczych. Dąży do oszczędności nie tylko materiału, lecz i do właściwego użytkowania wysiłku, czasu i przestrzeni.

Kto jednak identyfikuje organizację w gospodarstwie z jego mechanizacją — jest w błędzie, dlatego, że nigdy umiejętność fachowego wykonania jakiegokolwiek czynności nie pozbawia jej indywidualnego piętna wykonawcy. Trudno więc dopatrywać się w ułatwieniach, jakie metoda pracy wnosi w nasze ogniska domowe, zamachu na ich odrębność lub tradycję.

Pierwszym wynikiem rozpatrywania metod pracy jest docenianie wartości *krótkich, okresowo powtarzających się pauz odpoczynkowych*, wprowadzanych w tryb życia codziennego.

Tym sposobem przemęczone mięśnie usprawniają się do dalszego wysiłku, a naprężone nerwy wracają do równowagi, przyczem umysł zyskuje na bystrości i orientacji.

Nezmiernie ważnym współczynnikiem w organizacji pracy jest *wciągnięcie do zajęć domowych wszystkich członków rodziny*.

Samowystarczalność domowników ma w sobie dużo pierwiastków wychowawczych. Przedewszystkiem chroni matkę od nieustannego *myzysku* ze strony dzieci. *Uczy poszanowania* dla jej pracy i zaprawia do *dzielenia* z matką jej codziennych trudów. Nie na tem jednak ograniczają się zbawienne wpływy współpracy domowników. Dla dzieci współpraca ta jest źródłem ich usamodzielnienia i uniezależnienia się od warunków i okoliczności w dalszym życiu.

Jeśli chodzi o *oddziaływanie na opinię* — to jest to dotychczas dziedziną zupełnie przez kobiety nie wyzyskana. Niepoślednią rolę odgrywa tu również współpraca członków rodziny, którzy sami czynnościami domowymi zatrudnieni, rzecz prosta, nie będą ich bagatelizować, ani też na zewnątrz obniżać ich wartości. Poza tem kobiety przez organizowanie się w związki, lub też jakąkolwiek akcją zbiorową, mogą zażądać i wywrzeć wpływ na potanieńnię zbyt drogiej dotychczas przyrządów technicznych.

Kobiety uczestniczyć powinny w komisjach budowlanych w charakterze rzeczoznawców, aby one decydować mogły o racjonalnem zakładaniu kuchni,

rozmieszczaniu śmietników, wind, wentylatorów, oświetleniu śpiżarni, szaf w murze i t. p. Kobiety winny opinjować o praktyczności centralizacji kuchni w poszczególnych domach, czy też o przewadze gospodarstw wielokuchennych. Powinny również dążyć do rozpowszechnienia ogródków dziecięcych w blokach mieszkaniowych, które są pierwszym warunkiem higieny dla mieszkańców wielkich miast.

Wszystkie powyżej wymienione zastrzeżenia zdążają do możliwie największego zaoszczędzenia pani domu *wolnego czasu*, który zużytkować można w tylu ciekawych i poważnych kierunkach. Nie będzie więc rzeczą dziwną, ani śmieszną, ujęcie dnia pani domu w 8-io godzinny okres pracy, który przy kompletnym braku zajęć zarobkowych da się doskonale naszkicować w sposób następujący.

Gdy oznaczymy godz. 7-mą rano, jako moment, w którym pani domu wstaje do podjęcia swych codziennych obowiązków, to 10 minut poświęca własnej osobie na włożenie szlafrocza, poprawienie włosów, umycie ust i rąk — poczem szykuje śniadanie mężowi, dzieciom, dogląda ich ubrania, przesłuchuje w międzyczasie wątpliwe lekcje i wreszcie wysyła dziatwę do szkoły. Po wyjściu domowników pani myje się i ubiera. Chowa swe drobiazgi toaletowe w sypialni i o w pół do dziewiątej zasiada sama do śniadania, po którego podaniu służąca obowiązkowo udaje się na miasto po sprawunki.

Przy śniadaniu pani przegląda pisma i korespondencję, poczem przygotowuje rozkład zajęć na dzień następny oraz jutrzejszą dyspozycję obiadową. Po powrocie służącej z miasta, pani ogląda przyniesione sprawunki i udziela służącej wskazówek kulinarnych oraz robi obrachunek.

W czasie sprzątnięcia mieszkania przez służącą, pani zajęta jest czynnością specjalną, przypadającą dla niej na ten dzień z rozkładu tygodniowego. Np. porządkuje kredens, sprawdza platery, wydaje bieliznę do prania, uzupełnia inwentarz lub książkę rachunkową, wreszcie zajmuje się reperacją, szyciem lub cerowaniem.

Przed drugim śniadaniem, które spożywa w południe, pani poświęca kwadrans czasu na sprawdzenie stanu porządków w mieszkaniu oraz dokładności sprzątnięcia służącej. O godz. 1-ej pani wychodzi na miasto. Uskutecznia sprawunki, których załatwienia służącej nie powierza. Po drodze wstępuje po dzieci mniejsze do szkoły i o 2-ej jest w domu z powrotem. Zagląda do kuchni. Przyprawia potrawy, o ile służąca nie jest umiejętna. O 2.30 obiad.

Mąż, powracając z biura o 4-ej, musi zdecydować się dla dobra dzieci na jądanie oddzielnie! Po obiedzie Pani przebywa z dziećmi. Kwadrans odpoczywa wraz z nimi, a potem sprawdza materiał szkolny.

Towarzyszy mężowi przy jego obiedzie, poczem spędza z nim parę chwil na omówieniu wspólnem ważniejszych spraw domowych. Po przesłuchaniu dzieci z odrobionych lekcji, dzień pani domu jest skończony. I jest ona naprawdę swobodna i może pozwolić sobie na to, aby być towarzyszką swego męża i swych dzieci.

Inaczej sprawa się przedstawia, gdy kobieta godzi pracę zawodową z domem, lub gdy w domu wszystkie czynności wykonywać musi bez pomocy płatnej.

Wtedy o 8-io godzinnym dniu pracy nie może być mowy. Lecz przy dobrych chęciach i współdziałaniu domowników da on się zredukować do 12-tu godzin.

A dobre i to — gdy matka, ciężko pracująca przy gospodarstwie, żyje tą błogą myślą, że od godziny 7-ej wieczorem, gdy zasiądzie do kolacji ze swymi najdroższymi, będzie mogła odpocząć w atmosferze ich dobrych i miłujących serc.

Cały wysiłek społeczeństwa powinien być skierowany ku skróceniu dnia pracy w gospodarstwie kobiety, której siły obecnie są trwonione bezprodukcyjnie. A wywrze to wpływ niesłychanie dodatni na ogólną harmonję współżycia, którego luźno nieraz chodzące ogniwa zewrą się ze sobą i dadzą bez oporu pociągnąć naprzód.

Marja Ankiewiczowa.

## NIEBEZPIECZEŃSTWA UPIĘKSZANIA TWARZY

O ile przed wojną dążenie każdej pani skierowane było ku kształtom okrągłym i ku bladej cerze, o tyle w czasach powojennych ideałem „pięknej pani” jest wiotka, elastyczna kibić; co zaś do cery, to pewne zaróżowienie policzków przy wargach czerwonych uważane jest wprost za konieczność.

Dziś, niestety, bez różu, tuszu i pomadki do ust nie możemy sobie wyobrazić współczesnej kobiety.

Z punktu lekarskiego można byłoby mieć duże zastrzeżenia wobec szminek i innych środków upiększających tylko o tyle, o ile wpływać mogą ujemnie na cerę. W tym wypadku nie powinno się robić żadnych ustępstw, albowiem wszystko, co szkodzi zdrowiu i psuje cerę, musi być bezwzględnie usunięte z kobiecej toalety. Dziś żyjemy pod znakiem dążenia do jaknajdłuższego życia i zachowania bodajże do jego końca młodzieńczego ducha i wyglądu, a co za tem idzie, powinnyśmy się zawsze kierować zasadami higieny. Pierwszą z nich i najważniejszą jest zasada: „przedewszystkiem — nie szkodzić”.

Szkodliwość preparatów upiększających zazwyczaj wywołana bywa zawartością w nich takich soli, jakimi są np. sole rtęci i ołowiu, bez których trudny staje się wyrób niektórych kosmetyków. Nasz „Urząd Zdrowia” stoi na straży ochrony zdrowia obywateli i poddaje kontroli rejestrowane preparaty; jednakże w handlu znajduje się cały szereg preparatów, sprzedawanych w celach zysku, bez zatwierdzenia władz, a zresztą „Urząd Zdrowia” nie może liczyć się z takimi czynnikami, jak np. indywidualna wrażliwość niektórych osób na pewne środki.

Szkodliwość niektórych kosmetyków wyraża się w zatrucaniu całego organizmu. Najczęściej zatrucie to odczuwają nerki. To też zapalenie nerek nierzadko jest spowodowane nadmiarem stosowania niewłaściwych kosmetyków. A jest to cierpienie długie i uciążliwe. Poza tem dość często spotykamy się z zapaleniem jamy ustnej, np. dziąseł, podniebienia i gardła, z czem szczególniej powinny się liczyć śpiewaczki. Również dość często zjawiają się różne wysypki, rozsiane nieraz po całej skórze, daleko od miejsca stosowania danego specyfiku kosmetycznego. Środki kosmetyczne wywołać mogą również bardzo znaczne miejscowe szkody. Na pierwszym planie stoi tu podrażnienie miejscowe skóry, przybierające nieraz charakter bardzo silny, trudny do usunięcia. Zapalenie skóry, pryszczycy (egzemy), różnego rodzaju wysypki są dość częstą reakcją na zawarte w stosowanym preparacie kosmetycznym środki trujące. Poza tem liczyć się zawsze należy z możliwością wywołania wiot-

kości skóry, a co za tem idzie, ze zjawianiem się zmarszczek. Również rozszerzenie porów skóry można dość często zaliczyć do skutków działania niektórych składników.

Nie zawsze, niestety, udaje się uniknąć złych skutków. Jednakże zabezpieczamy się od nich w pewnym stopniu przez stosowanie pewnego podkładu. Mam tu na myśli wcieranie w skórę, przed nałożeniem warstwy różu, tuszu czy nawet pudru, jakiegoś odpowiedniego dla danej cery kremu, znanego z nieszkodliwości swych składników. Podkład taki wciera się dość silnie w skórę, by utworzyła się warstwa, zabezpieczająca od bezpośredniego działania nakładanych na nią kosmetyków, o składnikach niewiadomych.

Jakkolwiek przygotowanie środków upiększających jest dość trudne, i preparaty gotowe są nawet tańsze, jednak pozwolę sobie podać kilka recept dla orientacji.

Wybielającym płynem (według Dorvault'a) może być następujący: bizmutu oczyszczonego 50 gr., kwasu azotowego 115 gr., wody dystylowanej 110 gr.

Thenard podaje taki przepis: saletranu bizmutu, białego ałunu, kwiatu cynkowego i kredy brianckońskiej po 10 gr.

Jednakże i te preparaty mogą być nie obojętne dla skóry, wobec czego należałoby i pod nie dać jakiś „podkład“.

De Tramar, jako środek wybielający dla skór suchych, zaleca: wody różanej 100 gr., gliceryny 1 gr., i azotanu bizmutowego 50 gr. Pepin dla blondynek zaleca: rozczyntu eożyny ( $\frac{1}{50}$ ) 30 kropel, rozczyntu karminowego 10 kropel, wody różanej 125 gr. i gliceryny 10 gr. Dla brunetek zaś zalecić można: rozczyntu eożyny ( $\frac{1}{50}$ ) 10 kropel, rozczyntu karminu 20 kropel, wody różanej 100 gr., gliceryny 10 gr., spirytusu różanego potrójnego 20 gr.

Przy stosowaniu tych lub innych upiększających środków istnieje jeszcze zastrzeżenie co do zachowania pewnego umiaru. O ile bowiem odpowiednio podciemnione brwi i rzęsy, nieco uróżowane policzki i podkolorowane wargi mogą nawet dodawać pewnego powabu i uroku — o tyle przekroczenie tego umiaru wywołuje efekt wprost ujemny. A niestety, dość często na wieczorach, dancingach i balach widuje się młode, postawne, wysportowane osóbkę, o cerze bezwzględnie zdrowej (co daje się skonstatować przy spotkaniu z niemi w warunkach, że tak się wyrażę, normalnych — domowych), jednak wymalowane, w dosłownem słowa tego znaczeniu. Policzki mają pokryte emalją, tusz wprost skleja brwi, a rzęsy, wydłużone i pogrubione, zdają się sięgać skrzydełek nosa. O wargach już nie mówię, gdyż te są wprost niewidoczne z pod warstwy karminu. Aż przykro się robi, patrząc na tak zeszpeconą buzię. Naprawdę, na twarzy takiej nie widać nic żywego. Widziałam na jednym z balów taką żywą lalkę. Cała uroda jej pod warstwą „tynku“ zupełnie zanikła. A była to osóbkę młoda, postawna i naprawdę piękna. Taką jest ona w życiu, — na sali balowej jednak, wydała się tylko lalką, a co do jej naturalnej piękności wiele osób miało duże zastrzeżenia. Brak umiaru w upiększaniu się wywołał efekt odwrotny. W tych sprawach trzeba bezwzględnie być artystą, należy mieć wyczucie i smak, jak malarz, który jednym pociągnięciem nadaje właściwy wyraz.

U nas w Warszawie mamy dziesiątki zakładów upiększających, niestety jednak nie wszystkie odznaczają się artyzmem; stąd pochodzi przesada w upiększaniu. Wogóle należałoby pamiętać, że panie młode,

o cerze zdrowej i czerstwej, w stosowaniu środków upiększających powinny być bardzo ostrożne, gdyż malowanie się może zamaskować naturalną piękność i wdzięk świeżości. Małe przyciemnienie brwi i rzęs, nieznaczne zaróżowienie i przypudrowanie policzków, a także nadanie wargom przy pomocy pomadki tylko wyraźniejszego kolorytu — w zupełności wystarczyć powinno. O ile bowiem „upiększenie“ będzie, że tak się wyrażę „mocniejsze“, buzia dużo straci na naturalności i przekształci się w maskę. Upiększanie ładnej twarzy, o cerze zdrowej, jest znacznie trudniejsze, niż upiększenie twarzy starszej, lub też posiadającej pewne braki. Albowiem, aby nie zepsuć czegoś ładnego, trzeba mieć więcej umiaru i smaku artystycznego, niż przy „poprawianiu“ twarzy szpetnej lub zniszczonej.

Należy zawsze mieć na uwadze, że między panią na balu, a artystką na scenie jest duża różnica. O ile bowiem pierwszą widzimy zbliska, o tyle drugą obserwować możemy tylko z perspektywy i w specjalnem oświetleniu, a w tem jest duża różnica. Ta sama artystka, o ile ma poczucie estetyki, w życiu codziennem mało się charakteryzuje i na balu nie pokaże się w masce „lalki“.

Dr. med. Zofja Rostkowska.

## O NAKRYWANIU I PODAWANIU DO STOŁU

(dokończenie)

Półmiski i rondelki metalowe, w których się podaje potrawy wprost z pieca, ustawia się zwykle na półmisku lub talerzu porcelanowym, aby nie parzyły ręki osoby podającej. Dobrze jest też ustawić taki półmisek na tacy. Wogóle podawanie na tacy ma dużo stron dodatnich. Na tacy, oprócz półmiska, można ustawić salaterkę z sałatą, lub kompotem i sosjerkę z sosem — dwa przedmioty, które, piastowane w drugiej ręce osoby podającej, zawsze grożą niezręcznym przechyleniem i oblaniem ubrania osoby obsługiwanej. Jeśli się pochylą niezręcznie tacę, to część zawartości naczyń znajdzie się przedewszystkiem na tacy. Podawać półmiski na tacy można tylko wtedy, jeśli biesiadnicy są dosyć rzadko ulokowani przy stole: wsuwanie tacy, zawsze szerszej od półmiska, pomiędzy dwie blisko siedzące osoby, jest nie do pomyślenia.

Bardzo ważne jest dobre ułożenie potrawy na półmisku i nie nakładanie go zbyt pełno. Złe ułożenie naraża na długie poszukiwanie żadanego kawałka, a przepelnienie zawsze grozi zrzuceniem jakiegoś kawałka na sąsiada, na obrus lub podłogę. Z prawej strony półmiska, czyli od strony osoby obsługiwanej, powinny się znajdować narzędzia do nabierania potrawy — najczęściej widelec i łyżka, czasem jakaś łopatkę, a nawet nóż, naprzykład przy kremie mrożonym (plombières), czy lodach, podawanych w kształcie słupa lub bomby.

Półmisek lub salaterkę należy przy podawaniu oprzeć o stół, a właściwie położyć rękę, na której je trzymamy, na stole, aby przy nabieraniu potrawy się nie chybotęły.

Nakładanie na talerze biesiadników, praktykowane przez wprawna służbę w restauracjach, wymaga dużej zręczności i umiejętności, których bez dłuższych studjów specjalnych trudno nabyć; w życiu rodzinnem nie znajduje ono wcale zastosowania.

Tyle o potrawach, podawanych na półmiskach lub innych naczyniach, z których biesiadnicy sami muszą nabierać. Zupy, różne muszelki, tygielki, salatek na poszczególnych talerzykach, lody już ułożone na talerzyki, podaje się z prawej strony siedzącego. O ile zupę podajemy już nalaną na talerze, stawiamy głęboki talerz z zupą na drugim, płaskim talerzu. Ręką lewą zabiera się w takim razie talerz płytki, już stojący na stole, a prawą stawiamy talerze razem przed osobą jedzącą.

Talerze i sztucce zmienia się po każdym daniu; przy zimnych przekąskach, lub przy kolacjach, czy śniadaniach, podawanych „à la fourchette” — po każdej grupie przekąsek lub dań, aby aromat jednych nie przenosił się na drugie. Szczególniej wszelkie marynaty, śledzie i ryby wogóle pozostawiają na widelcach smak i zapach bardzo charakterystyczny, zupełnie nieznośny przy jedzeniu mięsa.

Użyte naczynia i sztucce najlepiej zbierać na tacę, nie przeciążając jednak jej zanadto. Można też na tacy ustawić czyste talerze i ułożyć sztucce. W miarę zbierania brudnych naczyń, zastępujemy je czystymi. Zagranicą ostatnimi czasy zaczęto wprowadzać stoliki na kółkach gumowych, które, mogąc pomieścić znacznie większe ilości naczyń, niż taca, oddają przy obsłudze ogromne usługi. Nietylko w restauracjach i pensjonatach, lecz nawet i w domach prywatnych takie ruchome stoliki są nieocenione. Dają one możliwość przywiezienia z kuchni jednocześnie półmisek i salatek z daniami oraz czystych naczyń; odwiezienia półmisek pustych i talerzy zużytych. Szczególniej przy nalewaniu zupy taki stolik jest nadzwyczaj wygodny i celowy, przedewszystkiem zaś oszczędza dużo chodzenia służącej pomiędzy kuchnią a jadalnią.

O ile przy stole jadalnym podaje się kawę lub herbatę, albo deser — którego nie należy identyfiko-

wać z leguminą — to trzeba przed ich podaniem usunąć ze stołu wszelkie zbędne naczynie, resztki chleba i okruchy. W tym celu posługujemy się specjalną, miękką szczeretką i małą tacą. Wszelkie zmiatanie serwetką, lub nawet ściereczką jest niedopuszczalne.

W codziennym życiu napoje nalewa pan, czy pani domu, bądź też sąsiad swojej sąsiadce, lub każdy sam sobie. Przy liczniejszym jednak towarzystwie funkcja ta przypada w udziale służbie. Więc wino, czy piwo, a nawet limonjadę lub wodę nalewa się zawsze z prawej strony siedzącego. Nie można nalewać kieliszków ani szklanek do pełna z obawy przelemania przez brzeg. Należy też po nalaniu pewnym, stanowczym ruchem unieść butelkę do góry, aby kropla płynu nie upadła na obrus. Dobre nalewanie napoi wymaga zręczności i pewności ręki — pewnej zdolności dokładnego obliczenia ruchu. Obecnie istnieje kilka rodzajów praktycznych przyrządów, zatrzymujących ostatnią kroplę i zapobiegających plamieniu obrusa. Wódki i likiery, podawane w mniejszych kieliszkach, a stąd trudniejsze do nalewania, najlepiej podawać już nalane w kieliszkach, ustawionych na tacy. Daje to możliwość jednoczesnego podawania kilku gatunków do wyboru, czego dwiema rękami uskutecznić nie sposób.

Największą zaletą osoby podającej jest uwaga i szybka orientacja, aby w każdej chwili zauważyć potrzebę każdego z biesiadników i natychmiast jej zaradzić. Dobrze obmyślenie wszelkich ewentualności, mogących się zdarzyć w czasie posiłku, i przygotowanie się do tego — ogromnie ułatwia i upraszcza pracę przy podawaniu.

A teraz pozostaje bardzo poważna kwestja: kwestja ubrania osoby podającej.

Dawniej, kiedy do stołu usługiwała przeważnie służba męska, były to rzeczy, zwyczajem usankcjonowane. Na codzień kurtka liberyjna czarna, granatowa,

## PREMJE KSIĄŻKOWE DLA PRENUMERATOREK „BLUSZCZU“

W związku z komunikatem, podanym w numerze „Bluszczu“ z dn. 1 stycznia r. b., zawiadamiamy nasze prenumeratorki, że ZAMIAST DODATKU POWIEŚCIOWEGO ORAZ TYTUŁEM PREMJI ZAKUPILIŚMY DLA NICH SZEREG WARTOŚCIOWYCH I CIEKAWYCH KSIĄŻEK Z ZAKRESU BELETRYSTYKI, które będą przesyłane TYLKO PRENUMERATORKOM po uiszczeniu przez nie osobiście, przekazem pocztowym, lub na konto P.K.O. Nr. 3.700 dodatkowo, do ustalonej poprzednio prenumeraty, jeszcze kwoty 2 zł. miesięcznie.

Na najbliższe półrocze prenumeratorki nasze otrzymają następujące książki, estetycznie na wykwintnym papierze wydane.

W MIESIĄCU		Stron	Cena książki w handlu księgarskim		Specjalne ceny premjowe dla prenumeratorek „Bluszczu“.	
			zł.	gr.	zł.	gr.
Styczniu	J. LOWELL: KOLEBKA NA GŁĘBINIE . . . . .	272	7	—	2	—
Lutym	O. HENRY: REWOLUCJA I MIŁOŚĆ . . . . .	306	6	50	2	—
Marcu	R. MACAULAY: DWA OBLICZA . . . . .	309	8	—	2	—
Kwietniu	H. G. WELLS: OJCIEC KRYSZTYNY ALBERTY . . . . .	424	11	—	2	—
Maju	B. TARKINGTON: KOBIETY . . . . .	335	8	—	2	—
Czerwcu	W. MAUGHAM SOMERSET: SAMOTNE DUSZE . . . . .	275	8	—	2	—

piaskowa, brązowa, szaraczkowa lub popielata z guzikami herbowymi (w braku herbu — z koronami). Od gości — frak czarny lub kolorowy — liberyjny i zawsze czyste, białe rękawiczki bawełniane (do prania).

Dzisiaj, przy wszechwładnie panującej służbie kobiecej, chcącej ubierać się zupełnie tak samo, jak panie — kwestja ubrania osoby usługującej do stołu staje się bardzo paląca. W mieście suknia ciemna (czarna lub granatowa), nie nazbyt modna i niezbyt ozdobna. Fartuszek biały i czółko lub czepeczek, zapobiegający opadaniu na czoło najczęściej krótkich włosów i spadaniu ich do potraw. Biały kołnierzyk i mankiety nadają całości pewne „cachet“ dystynkcji i czystości. Na wsi sukienka może być z jakiejś tkaniny bawełnianej, płócienka latem, zimą barchanu, byle w kolorach spokojnych, niejaskrawych. Fartuszek i czółko i tu i tam jednakowo obowiązują; przede wszystkim zaś obowiązuje czystość rąk, gdyż kobiety nie używają rękawiczek do posługi stołowej, i wogóle czystość służącej, ze względu na bliską jej styczność z osobami obsługiwanymi.

*Pani Elżbieta*

## PRZEPISY GOSPODARSKIE

### GRZANKI Z WĄTRÓBKĄ.

Należy je robić wtedy, kiedy używamy jednocześnie kilka lub kilkanaście sztuk drobiu. Można je jednak zrobić i z wątróbką cielęcą. Wątróbki indycze, kurcze, kacze lub gęsie, ostatecznie ćwierć kilo młodej wątróbki cielęcej wymoczyć przez godzin kilka w wodzie lub mleku. Uduścić z podwójną (na wagę) ilością słoninki, najlepiej od gotowanej szynki, i z taką ilością cebuli. Wszystko to razem posiekać tasakiem na stolnicy (przez maszynkę puszczać nie należy, gdyż zmasuje się i będzie wyglądało, jak papka). Dodać dobrą garść ostrego tartego sera, poprobować, czy dosyć słone, popieprzyć lekko. Bułkę, okrajaną ze skórki, pokrajać na zgrabne, centymetrowe grzanki. Brytfannę wysmarować masłem. Grzanki smarować grubo masą i układać jedną obok drugiej na brytfannie. Wstawić w dobrze gorący piec, aby grzanki od góry i od dołu jednocześnie się podsmażyły. Podawać bardzo gorące.

### RÓŻE ZAPUSTNE.

Dwa jaja całe, dwa żółtka, półkwaterek gęstej śmietany, łyżeczkę (od kawy) soli i łyżkę cukru-pudru zagnieść z mąką na ciasto tak twarde, aby się dało wałkować, jak makaron, bez podsypywania mąką na stolnicy. Rozwałkować jaknajcieniej. Dużą foremką do kruchych ciastek, lub małym spodkiem od filiżanki do kawy wycinać krążki. Pozostałe ciasto znów połączyć i rozwałkować, znów wycinać krążki, aż się wszystko użyje. Brać po cztery takie krążki, ułożyć równo jeden na drugim, mocno ścisnąć palcami w samym środku, aby się ciasto pod palcami zlepilo. Ostрым nożem nadciąć brzegi na dwa palce głęboko i rzucić na rozpalony szmalec, którego w rondlu powinno być tak obficie, aby róże w nim pływały. Gdy się zrumienią, osączyć na bibule, posypać obficie pudrem cukrowym, utłuczonym z wanilią. Podawać z konfiturami lub syropem owocowym.

### ROLADA Z PROSIECIA.

Potrawa, właściwie łatwa do zrobienia, lecz dosyć marna, oplaci się więc robić ją tylko z dużego prosiaka. Prosię na roladę powinno być tłuste i mięsiste. Prosię rozplatać, uciąć mu główkę i nóżki, wyjąć wszystkie kości, nie naruszając nigdzie skórki, ani tłuszczu pod nią. Oskrobać mięso pozostałe przy kościach, dodać wątróbkę prosięcia i z pół kilo dobrej, białej wątróbki cielęcej, przepuścić przez maszynkę wraz z dwiema bułeczkami, rozmoczonymi w rosole lub mleku, paru cebulami, drobno pokrajanymi i usmażonymi na maśle, i dwudziestoma deka młodej słoniny. Farsz ten osolić, popieprzyć, wbić dwa lub trzy jaja całe i łyżeczkę utartego majeranku. Ugotować ze trzy jaja na twardo i pokrajać wzdłuż na ćwiartki. Mieć pokrajaną w długie paski szynkę lub ozór i wędzoną słoninę (po 15 deka każdego), nakoniec kilka ładnych zielonych, małych korniszonów. Skórkę prosiaka rozłożyć na stole, posmarować całą farszem, na farszu poukładać równomiernie wszystkie dodatki. Zwinąć całość mocno w rolkę, starannie zeszyć grubymi niemi. Zawinąć w płótno, osznurować szpagatem. Kości z prosięcia ugotować na smak z włoszczyzną, cebulą, pieprzem i listkiem, precedzić do wanienki od ryb. Włożyć roladę. Gotować bardzo wolno około trzech godzin. Gdy nieco przestygnie, wyjąć, ułożyć na deseczce, przycisnąć drugą i ciężarkiem, aby się rolada nieco spłaszczyła. Gdy już zupełnie zastygnie, zdjąć płótno, opłókać, zmoczyć octem i ponownie owinąć roladę, wynieść na chłód, gdzie zimą do dziesięciu dni stać musi. Gdy płótno obeschnie, trzeba nanowo zwilżyć je octem. Jeżeli oprócz kości ugotujemy w smaku główkę i nóżki prosięcia, otrzymamy wyborny smak na zupełną cytrynową lub włoską. Roladę podajemy pokrajaną w cienkie plastry, a do niej chrzan ze śmietaną, chrzan z octem lub którykolwiek z ostrych sosów: tatarski, musztardowy, kaparowy i t. p.

*Pani Elżbieta.*

## KORESPONDENCJE

### Z DZIEDZINY KOSMETYKI.

*H. K.* — Znaczne wypadanie włosów, jakie dało się zauważyć u Pani, należy prawdopodobnie tłumaczyć przebytem cierpieniem. To też przede wszystkim proszę pomyśleć o ogólnym wzmocnieniu organizmu. Miejscowo proszę stosować mycie głowy co 5 — 7 dni mydłem siarkowym, poza tem codziennie na noc należałoby nacierać skórę głowy płynem o nast. składzie: spirytusu 60% — 50 gr., balzamu peruwiańskiego 2,5 gr., sublimatu 0,05 gr., oleju rycynowego 1 gr., nalewki kantarydowej 2 gr. i chininy 1,5 gr. Codziennie zaś na noc proszę szczerkować głowę w ten sposób, by skóra głowy odczuwała przyjemne ciepło.

*Anetce z Krakowa.* — Pryszcze u osoby młodej, przy cerze tłustej, są zazwyczaj wywołane łojotokiem przy możliwej niedomodze żołądka i kiszek; również jajniki, a także inne gruczoły o wewnętrznym wydzielaniu mogą odgrywać tu niemałą rolę. Dlatego też leczenie powinno być przede wszystkim przyczynowe. Miejscowo dobrze robi mycie w gorącej wodzie mydłem alkalicznym, wyciskanie wągrów i stosowanie kremu z zawartością 3 do 10 proc. (w zależności od wypadku) siarki. Oczywiście, w ramach „odpowiedzi“ trudno jest podać ściśle informacje, zawsze bowiem należy liczyć się z indywidualnością poszczególnego wypadku.

## WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł., kwartalnie — 15 zł., rocznie — 60 zł.

Do innych krajów miesięcznie — 6 zł. 40 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“ — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „Bluszcz“, Warszawa, Rymarska 8.